



DUŻYFORMAT

EKONOMIA+



FOT. MATELUSZ SKWARCEK / AGENCIA WYBORCZA.PL

TAKSÓWKA DLA KOBIET

Reportaż Anny Kiedrzynek

Jak się żyje ZA PENSJĘ MINIMALNĄ

Sprawdza Marta Piątkowska ► I-III

Rosja

Wybuch zabił córkę Dugina

W sobotę wieczorem pod Moskwą eksplodował samochód, którym miał jechać Aleksander Dugin, bliski Kremlowi ideolog „ruskiego mira”. Jechała nim jednak jego córka. Rosyjscy opozycjoniści uważają, że władze wykorzystają śmierć Darii jako pretekst do zaprowadzenia terroru w Rosji ► **6**
Sylwetka Dugina ► 2

Siatkówka

Polacy silni i zdyscyplinowani

– Oni są niesamowici. Robią, co każę, bez dyskusji. Unikalne zachowanie, nigdzie takiego nie ma – mówi „Wyborczej” Nikola Grbić, trener polskich siatkarzy, którzy w piątek rozpoczęli grę w mistrzostwach świata. Bronią złotą sprzed czterech lat.
Rozmowa z trenerem ► 14-15

Szczecin ratuje Odrę

Rzeka bez tlenu

Tysiące ryb rozpaczliwe szukało ratunku tuż przy powierzchni wody i przy brzegu. – One się duszą – alarmowali wędkarze z województwa zachodniopomorskiego i sami ruszyli na pomoc

**Andrzej Kraśnicki jr
Piotr Szyliński**

W Odrze pod Szczecinem dramatycznie spadł poziom tlenu. Pierwsi alarm podnieśli wędkarze i mieszkańcy z podszczecińskich miejscowości. Na publikowanych przez nich filmach w mediach społecznościowych widać było tysiące ryb, które tuż przy brzegu ledwo żywe rozpaczliwie próbowały łąpać powietrze.

Sami natleniają Odrę

Nie czekając, sami zaczęli spontaniczną akcję. Za pomocą pomp strumieniem zrzucali wodę do rzeki, a na Odrę wypłynęły motorówki, by wzburzyć wodę i ją natlenić.
– Rano było tutaj dramatycznie – opowiada Marcin Ważny, właściciel wypożyczalni kajaków i łodzi w Siadle Dolnym, kilka kilo-

metrów na południe od Szczecina. – Uruchomiliśmy nasze motorówki i krążyliśmy po wodzie. Coś trzeba robić.

To dało doraźne efekty. Ryby nabierały energii, gromadziły się w miejscach, gdzie prowadzono działania. Do akcji włączyli się strażacy – najpierw z OSP, potem, po wydaniu decyzji przez wojewodę, także z Państwowej Straży Pożarnej, którzy uruchomili swoje pompy.

Mimo to wiele kolejnych ryb padło, w tym dorodne okazy sandaczy, szczupaków i sumów.

– Proszę, jaki wielki sandacz – pokazuje strażnik rybacki, którego łódka dobiła do pomostu w Siadle Dolnym. – Tego jest więcej, masa.

Wskaźniki były dramatyczne. W sobotę poziom tlenu w wodzie wynosił 0,73 mg/l w Mescherin (na wysokości Gryfina, 30 km od Szczecina), 0,76 mg/l przy moście

Clowym w Szczecinie i 1,58 mg/l przy moście Długim w centrum miasta. W niedzielę nie było lepiej, odpowiednio: 1,07 mg/l, 0,60 mg/l i 0,60 mg/l. Wartość minimalna tlenu umożliwiającą rybom normalne bytowanie to 4,0 mg/l.

Według służb wojewody winna sytuacji są wysoka temperatura wody i brak wiatru.

W niedzielę strażacy instalowali cztery pompy o dużej wydajności, by działać jeszcze sprawniej.

Dwie dekady czekania

– Mamy bardzo duży problem z tlenem w Odrze, jest go ekstremalnie mało – przyznał wojewoda zachodniopomorski Zbigniew Bogucki i zaznaczył: – Odra i jej kanały to ogromne masy wody. Nie mijemy

złudzeń, że to coś zmieni globalnie, w skali całej rzeki. To brutalna fizyka. Działania mogą mieć znaczenie tylko punktowe.

– Może i punktowe, ale dzięki temu wydobędą potem parę ton martwych ryb mniej – komentuje Marcin Ważny z Siadla Dolnego.

W sumie do tej pory w wyniku katastrofy ekologicznej i przyduszy z Odry na terenie Pomorza Zachodniego wydłabiono już ponad 100 ton śniętych ryb. Jak długo potrwa odbudowa całego ekosystemu?

– Trzeba przede wszystkim zwrócić uwagę na wiek śniętych ryb, które cały czas są odławiane z Odry. One mają kilkanaście, 20, a nawet 30 lat. Do odbudowania ekosystemu Odry w takim stanie, w jakim funkcjonował jeszcze niedawno, potrzebne będą więc co najmniej dwie dekady – mówi prof. dr hab. Piotr Skubała, ekolog, etyk środowiskowy, aktywista klimatyczny z Uniwersytetu Śląskiego. ●

Współpraca Tomasz Czoik

• **Imperium Wód Polskich. Jak powstał „niesprawny, ułomny, kosztowny moloch, który nic nie może” ► 4-5**

Może to i punktowe działania, ale może dzięki temu wydobędą potem parę ton martwych ryb mniej – podkreśla Marcin Ważny z Siadla Dolnego



FOT. MARTIN MEISSNER

Lekkoatletyka

DZIEWCZYNY NA MEDAL

Na niedawnych mistrzostwach świata kłóciły się między sobą, atmosfera była kiepska, wynik – także. Ale teraz, na mistrzostwach Europy, nasza kobieca sztafeta 4x400 m pobięła rewelacyjnie i uległa tylko niezmiernie Holenderkom. Impreza w Monachium jest udana dla reprezentantów Polski, którzy do soboty wywalczyli 11 medali, w tym dwa złote.
OME w lekkoatletyce ► Wyborcza.pl

ROSYJSKA INWAZJA
NA UKRAINĘ NA
WYBORCZA.PL

Aktualne informacje,
rzetelne analizy,
nieoczywiste opinie
na Wyborcza.pl

Wydaje Agora SA, nr indeksu 348198



Stanisław
Skarżyński

Choćby wprowadzała kraj do NATO, kobieta jest zawsze podejrzana

Jak to jest, że mężczyźni mogą łamać prawo i zasady, a zajmujemy się młodą premierką, która nie zrobiła nic godnego potępienia?

„Aferę” uruchomiły nagrania, na których fińska premierka Sanna Marin tańczy i wygłupia się ze znajomymi. Nie ma na nich nic nawet w przybliżeniu skandalicznego. Na zdrowy rozum to w trzeciej dekadzie XXI w. podejrzana powinna być osoba, która nie ma w telefonie takich nagrań.

„Sprawa” trafiła jednak na nagłówki mediów, gdy Marin zrobiła test na obecność narkotyków, by przeciąć spekulacje prawicy. Wynik był negatywny, ale dęty skandal zaczął żyć własnym życiem, bo szefowa fińskiego rządu jest młodą, samodzielną kobietą, która poza polityką ma życie rodzinne i towarzyskie.

Marin przeprowadziła Finlandię przez pandemię w taki sposób, że kraj ma najniższą liczbę ofiar śmiertelnych w UE

– 983 ofiary na milion mieszkańców. To ponad trzy razy mniej niż w Polsce. Fińska gospodarka radzi sobie z konsekwencjami pandemii i wojny w Ukrainie: niespełna 8 proc. inflacji i perspektywa ponad 2 proc. wzrostu gospodarczego w 2022 r. powinny zawstydzić zarówno Warszawę, jak i Londyn.

W odpowiedzi na agresję Rosji rząd Marin udzielił Ukrainie szerokiego poparcia oraz zainicjował proces wejścia

Finlandii i Szwecji do NATO, który eksperci zgodnie uważają za geopolityczną katastrofę dla Kremla. W tym czasie największym grzechem Marin było złamanie zaleceń – ale nie prawa – przez pójście na przyjęcie, zanim otrzymała negatywny wynik po kontakcie z osobą zakażoną koronawirusem.

Obecna „afera” ma jednak znaczenie. Pokazuje podwójne standardy i zmieniający się świat. Mężczyźni mogą łamać ustanowione przez własny rząd prawo, wznosząc toasty w czasie lockdownu, jak Boris Johnson, albo wjeżdżając na zamknięty dla wszystkich cmentarz, jak Jarosław Kaczyński. Mogą tanio kupować działki od kleru, płacić za gaz rublami, spełniając życzenia Kremla, organizować wywózki uchodźców w zimie na bagna.

To są kontrowersje, gdy mowa o smutnych panach w podeszłym wieku. W przypadku Marin kontrowersją jest pójście na imprezę, bo w patriarchacie kobieta decydująca o sobie jest zawsze podejrzana. Szczęśliwie poza światem pravicowych frustratów dominującą reakcją jest wsparcie dla niej. Wygląda na to, że kończy się czas, gdy polityczka może być tylko nudnym wieszakiem na brzydkie garsonki. ●



Myszę, że dość delikatnie się wyraziłem na temat Sejmu pod rządami PiS.

To, co stało się z Sejmem w ostatnich latach, to jest coś upiornego

DONALD TUSK

pytany o słowa o upiornej myśli, że będzie „z powrotem siedział na tej Wiejskiej”

► 8

Indie

Święto boga z głową słonia



FOT. RAFIG MAQBOL/AP

Figura hinduskiego boga Ganesza – opiekuna ksiąg, liter i szkół, patrona uczonych – podąża do miejsca kultu. Festiwal Ganesh Chaturthi niebawem rozpocznie się w Bombaju.

Więcej zdjęć z Polski i ze świata oraz niezwykłych galerii na [Wyborcza.pl/zdjecia](https://wyborcza.pl/zdjecia)

Krwawe diamenty z Rosji

412

MLD DOL.

Tyle wyniosły w zeszłym roku przychody spółki Alrosa, giganta wydobycia diamentów. Kto próbuje utrudnić Rosji czerpanie zysków z eksportu kamieni?

► [Wyborcza.biz](https://wyborcza.biz)

Pozew za HiT



Ojciec córki urodzonej metodą in vitro znalazł już prawników, którzy będą go reprezentować w procesie przeciwko prof. Wojciechowi Roszkowskiemu, ministrowi Czarnkowi i całemu MEiN

► 9

Aleksander Dugin Zamach na ideologa Kremla

Filozof, historyk, polityk, znany na świecie ideolog „ruskiego mira”. Aleksander Dugin jest postrzegany jako gorący orędownik odtworzenia dawnej moskiewskiej potęgi zbudowanej na wzór imperium bizantyjskiego, a więc opartej na pełnej lojalności wobec najwyższej władzy i harmonii świeckiego tronu z prawosławnym ołtarzem.

Głosi teorię dwóch cywilizacji – zachodniej i statycznej, przeciwstawnej jej Eurazji, której centrum jest Rosja. Naturalnym sposobem istnienia Rosji jest rozszerzanie jej granic i podporządkowanie wszystkiego, co kiedykolwiek do niej należało.

W czasie wojny w 2008 r. domagał się zajęcia siłą Tbilisi i ustanowienia tam prorosyjskiego marionetkowego rządu. W 2014 r. w jednym z wywiadów mówił, że Ukraińców „trzeba zabijać, zabijać, zabijać i zabijać. Mówię wam to jako profesor”.

Jest płomiennym zwolennikiem wojny z Ukrainą, zajęcia całego kraju, włączenia go w orbitę Moskwy.

Jeszcze w 2015 r. został objęty zachodnimi sankcjami za rolę, jaką odegrał w okupacji Krymu, rozpalaniu wojny na Donbasie. Ma zakaz wjazdu do Unii Europejskiej. Jego córka Daria, działaczka nacjonalistyczna, też jest na liście osób objętych restrykcjami przez Wlk. Brytanię.



FOT. MEHDI BOLOURAN/DO MENA PUBLICZNA

Duginowi na wyrost przypisuje się ogromny wpływ na samego Putina. Jego teorie o jednoczeniu „ruskiego mira” są jednak rzeczywiście bardzo popularne i przyjmowane za swoje przez rosyjskich „siłowników”. Dugin był wykładowcą ideologii w Akademii Sztabu Generalnego. Wpatrzonym w niego generałom nie przeszkadzało, a wręcz przeciwnie – przekonywało ich to, że odwoływał się do pojęć stosowanych przez ideologów hitlerowskiej NSDAP, takich jak ideał „człowieka aryjskiego”.

Kilka lat temu amerykański komentator telewizyjny Glenn Beck nazwał Dugina „najbardziej niebezpiecznym człowiekiem na świecie”.

W sobotę wieczorem auto, którym miał jechać, rozerwała eksplozja. Zginęła kierująca nim córka Daria. Dugin jechał innym samochodem. ● **Wacław Radziwinowicz**
Czytaj też ► 6



Wyborcze drogi premiera

Szef kancelarii premiera Michał Dworczyk wraz z ówczesnym ministrem finansów i rozwoju Jerzym Kwiecińskim wymuszali na ministrze infrastruktury Andrzeju Adamczyku zgodę na drogę ekspresową S8 do Kłodzka, aby przed wyborami mógł ją obiecać premier Mateusz Morawiecki. Tak wynika z wycieku kolejnych maili ze skrzynki Dworczyka.

Andrzej Kublik

We wrześniu 2019 r. podczas kampanii wyborczej do parlamentu premier Mateusz Morawiecki złożył wizytę w Żąbkowicach Śląskich. I złożył tam doniosłą obietnicę, dotyczącą budowy drogi ekspresowej S8 spod Wrocławia do Kłodzka.

– Przywożę tutaj do was po konsultacjach międzyresortowych tę drogę, która była w ogóle nieujmowana w czasach naszych poprzedników w finansowaniu. Była tylko kreską na mapie, nie było na nią finansów ani realnych planów. Droga S8 powstanie – obiecywał Morawiecki na wiecu w Żąbkowicach. Deklarował przy tym, że PiS jest „wiarygodną partią konkretną”.

Rzeczywiście, w przeszłości modernizacja i rozbudowa połączenia drogowego między Wrocławiem a Kłodzkiem nie była priorytetem w porównaniu z budową innych dróg, ważniejszych dla zapewnienia płynnego transportu drogowego w całym kraju.

Premier Morawiecki potrzebował hojnej obietnicy wyborczej na wiec w Żąbkowicach Śląskich. A jak wyglądały „konsultacje międzyresortowe” w sprawie inwestycji w S8 do Kłodzka, pokazuje kolejny wyciek maili z korespondencji Michała Dworczyka, szefa kancelarii premiera Morawieckiego.

Dupokrytka na Sudecki Igrek

W mailu wysłanym na trzy dni przed wiecem w Żąbkowicach Dworczyk relacjonował Morawieckiemu:

„Spotkaliśmy się (J[erzy] Kwieciński [ówczesny minister finansów i rozwoju]) z A[ndrzejem] Adamczukiem [minister infrastruktury]. Przedstawiłem prezentację, którą wczoraj widziałeś, Jurek potwierdził analizy oraz powołał się na nieformalną opinię międzynarodowej firmy doradczej potwierdzającej słuszność rozwiązania Sudeckiego Y w kontekście zwiększenia ruchu na [drodze ekspresowej] S3. To dla nas niezwykle ważne w zw. z zarzutami KE o zbyt małym ruchu na S3 (odcinek przygraniczny) – grozi nam zwrot 2-3 mld zł (słowa A. Adamczyka). A.A. [Andrzej Adamczyk] sprawiał wra-



• **Warszawa, 20 grudnia 2021 r. Premier Mateusz Morawiecki i minister infrastruktury Andrzej Adamczyk podczas otwarcia tunelu południowej obwodnicy Warszawy. Obok program budowy dróg krajowych na lata 2014-23**

FOT. MACIEK JAŻWIECKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Szef kancelarii premiera nie krył irytacji na ministra infrastruktury, który oponował przeciw drogowym obietnicom Morawieckiego

żenie, że wcale nie słucha, bredząc tylko, że narażam skarb państwa na stratę miliardów i zaczął przekonywać, że trzeba dla S8 zrezygnować z kategorii S [drogi ekspresowej]. Jurek się włączył powtarzając argumenty i dodając, że dzięki temu rozwiązaniu nie trzeba będzie prowadzić [autostrady] A4 nowym szlakiem (b. drogie rozwiązanie). Zirytowany A.A. [Andrzej Adamczyk] sapiąc wezwał jako wsparcie dwójkę dyrektorów, którzy po zobaczeniu analizy najpierw zamilkli a następnie pan dyr. powiedział, że to mogą być »podkręcone« – tzn. fałszywe dane. Argumentów merytorycznych brak. Skończyło się tak, że wezmą materiały i będą je analizować (czytaj szukać argumentów dlaczego nie da się tego zrobić)”.

A po kolejnych uwagach w podsumowaniu Dworczyk napisał: „Jeżeli Premier nie wyda polecenia [zapewne Adamczukowi], że wpis [o budowie S8 Wrocław – Kłodzko] ma być dokonany, nic z tego nie będzie. Ani na niedzielę – na Żąbkowice, ani wcale”.

Te groźby widać poskutkowały. Wieczorem w niedzielę 22 września 2019 r., już po wiecu wyborczym w Żąbkowicach, na którym premier Morawiecki powiedział, że dro-

ga S8 powstanie, w sprawie tej inwestycji minister Jerzy Kwieciński wysłał mail do Dworczyka. Napisał: „Jak obiecałem, wysłałem dzisiaj Andrzejowi [prawdopodobnie Adamczukowi] pismo, aby miał »dupokrytkę« do włączenia S8 do Rozporządzenia. Wyślę Ci kopię jutro, bo nie udało mi się tego zrobić z domu z komputera służbowego”.

O co tu chodzi?

Wiadomo, że naciski wywierane przez Dworczyka i Kwiecińskiego na Adamczyka przyniosły skutek, skoro Morawiecki obiecał w Żąbkowicach budowę S8 do Kłodzka – chociaż mogło być też tak, że swoją zapowiedzią premier postawił swojego ministra przed faktem dokonanym.

Mail Dworczyka jest jednak ezoteryczny i spróbujemy go wyjaśnić.

Sudecki Igrek to pomysł budowy dwóch dróg ekspresowych na Dolnym Śląsku rozwidlających się na kształt litery „Y” na południe od Wrocławia.

Pierwsza z tych dróg to S8 Wrocław (Mągnice) – Kłodzko o długości 87 km, teoretycznie stanowiąca ciąg dalszy drogi S8 między Wrocławiem a Białymstokiem. Druga to droga S5 Sobótka – Bolków o długości 50 km przebiegająca na południe i niemal równoległe do autostrady A4, od skrzyżowania z planowanym nowym odcinkiem S8 w Sobótce do skrzyżowania w Bolkowie z doprowadzoną tam już drogą ekspresową S3.

Nie dziwi też, jeśli minister Adamczyk oponował przeciw budowie drogi ekspresowej na całym odcinku od Wrocławia do Kłodzka. Dla tej trasy w przeszłości rozważano drogę ekspresową co najwyżej od Wrocławia do Łagiewnik, gdzie obecne natężenie ruchu już uzasadnia kosztowną inwestycję w trasę ekspresową.

Nie wiadomo, kto i na czyje zlecenie przygotował analizę, która według Dworczyka miała uzasadnić budowę prawie 140 km obu tych nowych dróg ekspresowych Sudeckiego Igreka, na dokładkę z konieczną z pewnością przebudową i modernizacją 80 km

autostrady z Wrocławia do Legnicy. A w grę wchodziły inwestycje warte miliardy złotych.

Czesi zostawili nas na lodzie

W tle forsowanego przez Dworczyka programu drogowego dla Dolnego Śląska są problemy z drogą ekspresową S3. Ma ona przecinać zachodnią Polskę od Świnoujścia do granicy z Czechami, stanowiąc główną arterię drogową w tej części Polski.

Droga S3 ma się łączyć z czeską drogą szybkiego ruchu D11, otwierając w ten sposób połączenie z Pragą. Ożywiłoby to cały ten region Europy. A także ułatwiło przewozy między Czechami a zespołem portów Szczecin-Świnoujście, Czechom zaś otworzyłoby nowe tranzytowe połączenie przez Polskę do Niemiec. Rozmowy o koordynacji budowy drogi S3 i D11 prowadził już rząd PO-PSL. I wtedy rzecznik czeskiego ministerstwa transportu zapowiadał, że budowa odcinka D11 przy granicy z Polską zacznie się w 2019 r. Potem, na przełomie 2016 i 2017 r., rozmowy o koordynacji tych inwestycji drogowych kontynuował minister Adamczyk ze swoim czeskim odpowiednikiem.

Polska wywiązała się z tych ustaleń. Jesienią 2018 r. GDDKiA podpisała kontrakty na zaprojektowanie i budowę dwóch ostatnich odcinków S3 o długości łącznie ponad 31 km, od Bolkowa do granicy z Czechami. Jeden z tych odcinków ma być gotowy w przyszłym roku, a drugi w 2024 r. Tymczasem Czesi dopiero przygotowują budowę 41 km swojej drogi D11 od granicy z Polską do miejscowości Jaromer, gdzie obecnie kończy się ich droga szybkiego ruchu.

W zeszłym miesiącu po spotkaniu z Adamczukiem czeski minister transportu Martin Krupka obiecał przyspieszenie prac nad D11. Zapowiedział, że rozpoczęcie budowy brakujących odcinków do granicy z Polską zaplanowano na przyszły rok, a finalizację prac na 2027 r.

„Nie jesteśmy lepsi od PO”

W mailach odsłaniających kulisy ogłoszenia przez Morawieckiego przed ostatnimi wyborami parlamentarnymi decyzji o budowie drogi ekspresowej S8 Wrocław – Kłodzko interesujący jest też passus z uwagami osobistymi Dworczyka po rozmowach z ministrem Andrzejem Adamczukiem.

Szef kancelarii premiera nie krył irytacji na ministra infrastruktury, który oponował przeciw drogowym obietnicom Morawieckiego – ze względów ekonomicznych i obawy przed zmarnowaniem publicznych pieniędzy, jak sugeruje treść ujawnionych maili.

Jednak Dworczyk zgola inaczej ocenił postawę Adamczyka. W uwadze osobistej napisał: „Takiej tępoty, połączonej z niekompetencją, bezinteresownym szkodnictwem lub zawiścią, zakłamaniem i zwykłym łajdactwem dawno nie widziałem. Jeżeli polityka ma wyglądać tak, że ludzie wyłącznie ze względu na małostkowość, dla własnej ambicji, itp. narażają państwo na miliardowe straty i w taki sposób decydują o sprawach strategicznych [ch] z punktu widzenia kraju, to oznacza, że nie jesteśmy lepsi od PO”. ●

Wspomnij bliskich
w wyjątkowy sposób

Stwórz miejsce pamięci na

ODESZLI.pl

Katarzyna Nowak

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY 34199150

Z wielkim żalem i smutkiem pragnę poinformować,
że w dniu 14 sierpnia 2022 roku zmarł mój Brat

Zygmunt Składanowski

fizyk i szermierz

Pogrzeb odbędzie się na Cmentarzu Bródnowskim w Warszawie
w dniu 25 sierpnia 2022 roku o godzinie 11:20. Msza św. w Kościele Drewnianym.

Jolanta Gałązka-Friedman z Rodziną

www.nekrologiwyborcza.pl/34199147

Żegnamy w bólu

Profesora

Stefana Gierowskiego

Ostatniego z Najwybitniejszych Klasyków Współczesnego Malarstwa.
Mądrego, pełnego dobroci, Wspaniałego Człowieka

Wojciech Fibak z bliskimi

www.nekrologiwyborcza.pl/34198956

Zatruta Odra



rządu Gospodarki Wodnej. Organ wyższego rzędu (Prezes Wód Polskich) ocenia odwołanie, zanim jeszcze powstało. Jest to działanie charakterystyczne dla państw, w których nie obowiązują rządy prawa. Wobec działań Pana Prezesa Przemysława Dacy – jako funkcjonariusza publicznego – odbieranych przez nas jako naruszenie elementarnych reguł praworządności, MPWiK podejmie adekwatne działania w sprawie ochrony praw do rozpatrzenia sprawy przez niezależny i bezstronny organ”.

Skąd się wzięły Wody Polskie?

Imperium Przemysława Dacy powstało, bo Polska musiała na nowo zorganizować politykę wodną zgodnie z unijnym prawem. To tzw. ramowa dyrektywa wodna z jesieni 2000 r. ustanowiła zasady wspólnotowej polityki wodnej. Reforma była warunkiem dostępu do funduszy z programów operacyjnych Unii Europejskiej na lata 2014-20.

Ale koncept na Wody Polskie to od początku do końca dzieło PiS. Partia powołała kolosa, który scentralizował zarządzanie wodą.

Daca w styczniu 2021 r. zapewniał, że „jednym z celów Wód Polskich jest osiągnięcie odpowiedniego poziomu czystości wód w Polsce”.

Bo przecież: „Nie bez powodu woda nazywana jest »białym złotem«. Mamy jej w Polsce bardzo mało i musimy gospodarować nią w racjonalny sposób”. Albo: „Praca w Wodach Polskich nie jest zwykłą pracą, ale służbą, często wiążącą się z różnymi wyrzeczeniami. Musimy być cały czas w gotowości, by w razie potrzeby ochronić nasze społeczeństwo przed powodzią, ale też zadbać o zabezpieczenie odpowiednich zasobów wody dla obecnych i przyszłych pokoleń”.

Nowa instytucja przejęła zadania samorządów i obowiązki Krajowego Zarządu Gospodarki Wodnej oraz siedmiu regionalnych zarządów zajmujących się gospodarowaniem wodami.

– Odebrali sprawy melioracji i gospodarowania wodą zdecentralizowanym urzędowi marszałkowski i zrobili jedno wielkie gospodarstwo wodne. Nawet zarybianie rzek stało się centralne. Według PiS-owców wszystko miało być lepiej, mówili, że będą poprawiać to, co złe. Potem oczywiście zajęli się kupowaniem samochodów, wynajmowaniem siedzib, przyjmowaniem ludzi, ale nie potrafili zbudować sprawnych struktur, stanęły inwestycje – wylicza poseł PSL Marek Sawicki, były minister rolnictwa.

Wodom potrzebna flota

Do Wód popłynęły pieniądze. Otworzyły się też możliwości kadrowe, dziesiątki stanowisk, nie tylko dla specjalistów. Wody Polskie to Krajowy Zarząd Gospodarki Wodnej, któremu podlegają Regionalne Zarządy Gospodarki Wodnej, a im Zarządy Zlewni.

Poseł Sawicki: – W Wodach Polskich siedzi kadra polityczna. Specjali-



Nie bez powodu woda nazywana jest „białym złotem”. Mamy jej w Polsce bardzo mało i musimy gospodarować nią w racjonalny sposób

PRZEMYSŁAW DACA
były prezes Wód Polskich

◀ Imperium Przemysława Dacy powstało, bo Polska musiała na nowo zorganizować politykę wodną zgodnie z unijnym prawem. Na zdjęciu: Krawców, 6 sierpnia 2018 r., protest pracowników Państwowego Gospodarstwa Wodnego Wody Polskie. FOT. ADRIANNA BOCHENK / AGENCJA WYBORCZA.PL

ści są na niższych stanowiskach, tylko że z rady specjalisty trzeba umieć skorzystać. U nich rada specjalisty jest tylko przeszkodą.

A fachowcy mieli przyjść z urzędów marszałkowskich, Krajowego Zarządu Gospodarki Wodnej i jego regionalnych oddziałów.

Dziś Wody zatrudniają 6,3 tys. pracowników. I od początku był problem z wysokością pensji na niższych stanowiskach niż zarządy. Szczególnie że ludzie dowiedzieli się o 120 mln zł funduszu na nowe samochody. To Daca w jednym z pierwszych swoich wywiadów narzekał na brak nowej floty.

Poseł Szczerba dowiedział się, że dziś średnia pensja w Wodach Polskich to 4,4 tys. zł brutto. Znacząco lepiej wygląda sytuacja na szczeblu kierowniczym. Tam zarabia się 21,6 tys. zł brutto.

Jednym z dyrektorów – zlewni w Zamościu – jest np. Eugeniusz Daciuk, prywatnie teść wicepremiera Jacka Sasina.

Gdy w 2021 r. Jarosław Kaczyński dostrzegł nepotyzm w szeregach PiS i uchwałą partii stało się zakazane zatrudnianie rodzin we władzach państwowych spółek, agencji itp., Daciuk oświadczył, że nie odejdzie ze zlewni. Z dwóch powodów: teść to nie rodzina i ma kwalifikacje.

W sprawę włączył się osobiście prezes Dacy. Napisał w mediach społecznościowych: „W związku z pojawiającymi się w mediach publikacjami oświadczam, że Pan Eugeniusz Daciuk, Dyrektor Zarządu Zlewni w Zamościu, został zatrudniony ze względu na swoje kompetencje zawodowe, nie natomiast koligacje rodzinne, jak sugerują niektóre media”.

„Prezes lubi popływać”

Posłanka Lenartowicz: – PiS-owi zamarzyło się, by stworzyć swoistą „eksterytorialną” instytucję, bogatą i władczą. A mimo to Wody Polskie kompletnie sobie nie radzą. Tam jest totalny bezwład organizacyjny. To folwark, który nie umie zarządzać olbrzymimi pieniędzmi.

Akurat odchodzący prezes Przemysław Dacy nie ma partyjnej legitymacji. Ale jego patron Marek Gróbarczyk to ustosunkowana figura w PiS. Przyjaciół i protegowany Joachima Brudzińskiego, jednego z ważniejszych polityków PiS. Gróbarczyk i Brudziński co roku spędzają wakacje z prezesem Kaczyńskim,

m.in. nad Zalewem Szczecińskim. Brudziński wrzuca zdjęcia do mediów społecznościowych. A Gróbarczyk czasami dzieli się wrażeniami ze wspólnych wypadów. Np. „nie jest tajemnicą, że prezes lubi popływać”, „lubi łowić, ryby, które łowi, również wypuszcza”, „jest zagorzałym ekologiem i lubi środowisko naturalne”.

Jarosław Kaczyński dotąd nie powiedział słowa o katastrofie na Odrze.

Minister klimatu i środowiska Anna Moskwa, gdy z Odry wylawiano tony śniętych ryb, była na urlopie. Informacje powinna mieć z pierwszej ręki, bo jej mąż Paweł Rusiecki to zastępca prezesa gospodarstwa Wody Polskie.

Moloch bez monitoringu

– Mamy niesprawny, ułomny, kosztowny moloch, który nic nie może – tak Szczerba podsumowuje swoją kontrolną wizytę w Wodach Polskich.

Dlaczego?

– Bo pierwsze, co usłyszeliśmy z posłem Jońskim od trzech pań dyrektorek, które nas przyjeły, to to, że niewiele mogą, bo mogą tylko prosić Wojewódzkie Inspektoraty Ochrony Środowiska [podlegają wojewodom] np. o badanie wody. To po co PiS powołał taką ułomną instytucję?

Wody Polskie np. wydają pozwolenia wodno-prawne. I tu jest problem. – W Wodach usłyszeliśmy, że mamy 5816 rur wypływowych na odcinku Odry, to dane z końca lipca. Z tych 5816 rur 3,5 tys. ma pozwolenia. Reszta jest nieczynna albo zrzuca ścieki nielegalnie. Czynnych bez pozwolenia jest 503. Wody zawiadomiły policję o 283 zidentyfikowanych przypadkach. Iloma zajęła się policja?

Wszystkimi?

– Nie, zaledwie 20 przypadkami. To pokazuje, że Wody nie stworzyły żadnego nowoczesnego monitoringu wód w Polsce. Dopiero 16 sierpnia minister Moskwa powiedziała, że da 250 mln zł na stworzenie tego monitoringu – mówi Szczerba.

A jak powinno być? Szczerba cytuję eksperta: „Najważniejsze jest wykonanie analizy wody, żeby ustalić, co w niej jest i co mogło spowodować obecną sytuację w Odrze. Po ustaleniu, co skażyło wodę (jeśli doszło do skażenia chemicznego), będzie można podjąć działania prowadzące do neutralizacji tej trucizny, np. poprzez wywołanie odpowiedniej reakcji chemicznej w celu zneutralizowania danej substancji, wytrącenia jej itp. Bez pobrania próbek wody i jej zbadania nie będzie to możliwe. Tylko jest niezrozumiałe, z jakiego powodu od momentu pierwszych informacji o katastrofie do dnia dzisiejszego nie wykonano badań wody. Teraz może już być za późno, ponieważ woda płynie i jej skład się zmienia, substancje się rozcieńczają nawet na tyle, że nie da się ich oznaczyć. Jest wiele trucizn (substancji chemicznych), które bardzo łatwo rozpuszczają się w wodzie. Żeby móc odpowiednio i skutecznie zadziałać przeciw danej substancji, trzeba wiedzieć, co to za substancja”. ●

JUŻ W SPRZEDAŻY

wysokieobcasy
extra



DANUTA STENKA

Sześćdziesiątka mnie bawi i cieszy

AKCJA „Weekend Zniżek”

Ekstrarabaty do ponad 2200 sklepów



GRATIS Naturalny podkład
Soraya Plante





• Śledczy pracują na miejscu wybuchu samochodu, w którym pod Moskwą zginęła Daria Dugin FOT.AP

W zamachu na ideologa Kremla zginęła jego córka

Eksplodował samochód, którym jechała córka Aleksandra Dugina Daria. Sam bliski Kremlowi ideolog „ruskiego mira” przypadkiem uniknął śmierci.

**Wiktoria Bielaszyn
Wacław Radziwinowicz**

Dugin z córką w sobotę wieczorem byli na „patriotycznym” festiwalu w Odincowie pod Moskwą. Auto, którym przyjechali, stało w tym czasie na nieochronianym parkingu. Wracać mieli razem.

W ostatniej chwili ojciec zdecydował, że wsiądzie do innego samochodu, który pojechał za Darią.

Przy wjeździe do wsi Bolszoje Wiaziemy toyotę prowadzoną przez młodą kobietę rozzerwał wybuch. Niektórzy świadkowie twierdzą, że eksplozję były dwie. Płonący samochód, tocząc się jeszcze, uderzył w przydrożny płot. Dugin zginęła na miejscu.

Oddana uczennica ojca

Dugin nie była postacią całkowicie anonimową nawet dla Rosjan, którzy polityką się nie interesują. Po ukończeniu studiów filozoficznych na prestiżowym Moskiewskim Uniwersytecie Państwowym im. Łomonosowa rozpoczęła pracę jako rzeczniczka prasowa ojca oraz jako ekspertka ds. polityki w powołanej przez niego organizacji Międzynarodowy Ruch Euroazjatycki.

Odbiorcy prokremlowskich mediów znali ją z wystąpień w programach publicystycznych i tekstów publikowanych m.in. przez redakcję Russia Today czy Cargrad, gdzie poja-

wiała się pod pseudonimem Daria Platona. W pełni podzielała poglądy ojca, który w przeszłości m.in. nawoływał do zabijania Ukraińców. Wierzyła w słuszność rozprzestrzeniania się „ruskiego miru” oraz koncepcję „euroazjatycką” – Rosja poprzez integrację byłych republik radzieckich ma stworzyć nowe „supermocarstwo”, narzucić i ugruntować swoją dominację nad państwami sąsiedzkimi oraz nie dopuścić do rozprzestrzenienia się wpływów USA i NATO na terytorium kontynentu euroazjatyckiego.

Gdy po napaści Rosji na Ukrainę została objęta, tak jak przed laty jej ojciec, sankcjami USA i Wielkiej Brytanii za rozpowszechnianie dezinformacji, podkreśliła, że jest z tego powodu dumna.

Propagandystka Kremla

O jej przekonaniach świadczy przede wszystkim zaangażowanie w działalność ojca – towarzyszyła mu na konferencjach i wykładach, podczas których również zabierała głos. Zamieszczane przez nią w Telegramie wpisy, ale i liczne publiczne wypowiedzi nie pozostawiają wątpliwości, co Dugin myślała o wojnie w Ukrainie. W jednym z wywiadów wyemitowanych na antenie Pierwszego Kanału państwowej telewizji mówiła m.in., że działania rosyjskiej armii w Ukrainie należy nazwać „wyzwaniem życia z rąk śmierci”. – Rosjanie próbują uratować ludność cywilną z rąk śmierci. A czym jest śmierć? Jeśli przypomnimy sobie klasyków poezji, na przykład Novalisa, to powiedział, że śmierć jest utratą jedności. W Ukrainie ta jedność została utracona, pojawiło się kilka grup o agresywnej ideologii i absolutnej rusofobii... Teraz jest to bitwa idei, bitwa dwóch cywilizacji, światopoglądów – mówiła.

Daria napisała nawet jeden z rozdziałów do powstającej właśnie w Rosji „Księgi Z”, czyli zbioru tekstów o „specjalnej operacji wojennej” w Ukrainie. Czytelnicy dowiedzą

się z niej o „wielkich zasługach rosyjskiej armii” i poznają relacje Ukraińców „wdzięcznych za wyzwolenie”. Dugin pracowała nad nią intensywnie. Po zajęciu przez rosyjskie wojska ukraińskiego Mariupola udała się tam nawet w delegację, by zobaczyć to, co pozostało z zakładu Azowstal. Propagandyści, którzy przeprowadzili z nią wtedy wywiady, mówili, że Dugin „doskonale wiedziała, z czym walczy Rosja”. – Nienawidziła banderowców. Ostro, głęboko i wyraźnie tłumaczyła, czym jest nazizm, z którym walczymy – wspominał w niedzielę prokremlowski politolog Siergiej Karnauchow.

Oskarżenia wobec Kijowa

Wśród wersji przyczyn zamachu od razu zaczęła dominować zemsta Ukraińców.

Głos w sprawie zamachu na dziewczynę zabrała Margarita Simonian. Szefowa propagandowej Russia Today oświadczyła na Twitterze, że „nie ma słów” i że wszyscy, którzy cieszą się z jej śmierci, powinni zostać aresztowani. Podkreśliła przy tym, że sama korzysta z ochrony, i zasugerowała, że winnymi śmierci dziewczyny są Ukraińcy. Wcześniej Denis Pusziłin, przywódca separatystycznej Donieckiej Republiki, również oskarżył Kijów o organizację zamachu.

Rosyjscy opozycjoniści uważają, że rosyjskie władze wykorzystają śmierć Darii jako pretekst do zaprowadzenia terroru w Rosji

Zachar Prilepin, pisarz, weteran wojny na wschodzie Ukrainy (walczył po stronie separatystów donieckich), dziś współprzewodniczący partii Sprawiedliwa Rosja – Za Prawdę, twierdzi, że to prezydent Wołodymyr Zełenski osobiście kazał podłożyć na parkingu w Odincowie bombę w samochodzie, którym miał jechać Dugin.

Przyjaciół dziewczyny cytowany przez propagandową redakcję „Izwestia” stwierdził natomiast, że jej głównymi wrogami byli „przedstawiciele liberalnego lobby”. – Zdecydowanie jest to związane z trwającą operacją specjalną Rosji – dodał.

Niezależny rosyjski politolog Iwan Priobrazenski we wpisie na Facebooku przekonuje, że „faszystowskie poglądy” głoszone na przestrzeni dziesięcioleci przez Aleksandra Dugina doprowadziły do dokonania przez partyzantów zamachu na jego córkę.

Z kolei Leonid Wołkow bliski współpracownik opozycjonisty Aleksieja Nawalnego za winnego tej śmierci uznaje prezydenta Rosji. To on, pisze Wołkow, „rozpętał zbrodniczą wojnę i zabił dziesiątki tysięcy niewinnych ludzi”.

Latynina: Rosję czeka fala terroru

Rosyjscy opozycjoniści uważają, że rosyjskie władze wykorzystają śmierć Darii jako pretekst do zaprowadzenia terroru w Rosji. Jego ofiarami staną się przeciwnicy Kremla, którzy nie wyjechali z kraju, a nawet – jak twierdzi Leonid Wołkow – apolityczni członkowie ich rodzin.

„Zabójstwo Dugin było bezsensowne. Stanie się przyczyną zaprowadzenia terroru wewnątrz kraju tak jak przed laty zabójstwo Kirowa” – napisała na Twitterze Julia Latynina, komentatorka i publicystka publikująca m.in. na łamach opozycyjnej „Nowej Gazety”. Zgodził się z nią m.in. pisarz i dysydent Wiktor Szenderowicz. ●

Wrócili „pionierzy” rosyjskiej agresji

Rosyjska agresja przeciwko Ukrainie rozpoczęła się w 2014 r. od aneksji Krymu i wojny w Donbasie. Rosyjscy uczestnicy tamtych wydarzeń i ich miejscowi pomocnicy znów walczą przeciwko Ukrainie.

Piotr Andrusieczko

KIJÓW

Kilka dni temu pojawiła się informacja, że na Krymie został zatrzymany z podrobionymi dokumentami Igor Girkin. Według publikacji w rosyjskich kanałach Telegramu były minister tzw. Donieckiej Republiki Ludowej (DRL) chciał się dostać na front, żeby walczyć przeciwko Ukrainie.

Strielkow rozpoczął wojnę w Donbasie

Igor Strielkow, bo pod takim nazwiskiem działał na początku agresji przeciwko Ukrainie, ostatni raz legalnie przyleciał do Ukrainy, a konkretnie do Symferopola na Krymie, 26 lutego 2014 r. W nocy z 26 na 27 lutego grupa nieoznakowanych żołnierzy rosyjskich oddziałów specjalnych zajęła budynek Rady Najwyższej Autonomicznej Republiki Krym. Tak rozpoczęła się agresja Rosji przeciwko Ukrainie.

Sam Strielkow, przed tym jak znalazł się na Krymie, brał udział w kilku wojennych awanturach, w których zainteresowana była Rosja. Najpierw w 1992 r. w Naddniestrzu, później trafił do Bośni, gdzie walczył po stronie Serbów. A od 1995 do 2005 r. wykonywał różne zadania dla FSB w Czeczenii. Dostał się stopnia pułkownika FSB.

Ale zanim zajął się wojną na poważnie, to w 1989 r. zainteresował się rekonstrukcjami historycznymi rosyjskiej Białej Armii z czasów rewolucji bolszewickiej. Girkin jest monarchistą i być mo-

że to właśnie jego poglądy spowodowały, że po odejściu z FSB znalazł pracę u Konstantina Małofiejewa – miliardera i polityka, jednego ze sponsorów tzw. ruskiego миру (świata rosyjskiego). Małofiejew jest właścicielem ultrakonserwatywnej prawosławnej telewizji Car-gorod. W 2014 r. Małofiejew czynnie wspierał rosyjskie działania na Krymie i w Donbasie, za co sankcjami objęły go UE, USA i Kanada.

Po zajęciu Krymu przez Rosję Girkin zorganizował tam nabór i szkolenie grupy dla operacji w Donbasie. W kwietniu 52 bojowników pod jego dowództwem przekroczyło granicę rosyjsko-ukraińską w obwodzie donieckim. Okazało się, że przy wsparciu miejscowych prorosyjskich mieszkańców te siły wystarczyły do zajęcia ponad 100-tysięcznego Słowiańska. Tak rozpoczęła się wojna w Donbasie. Od 16 maja do 14 sierpnia był tzw. ministrem obrony DRL. Następnie wrócił do Rosji.

Girkin odpowiada między innymi za śmierć deputowanego rady Goriłki Wołodymyra Rybaka. Rosyjski bojownik jest poszukiwany listem gończym wystawionym przez sąd w Holandii – podejrzewa się, że przyczynił się do zestrzelenia w lipcu 2014 r. malezyjskiego samolotu pasażerskiego nad Donbasem. Zginęło wówczas 298 osób.

Po inwazji 24 lutego Girkin znów zaczął częściej pojawiać się w mediach. Krytykuje rosyjskie dowództwo i ministra obrony Siergieja Szojgu za błędy i niską skuteczność w walce przeciwko Ukrainie.

Ludowy mer marzy o powrocie do domu

Kiedy Girkin-Strielkow zajął Słowiańsk, na miejscu spotkał się z Waczesławem Ponomariowem, który ogłosił siebie „ludowym merem”. Girkin to zaakceptował, ale jak wspomina, współpraca szybko przerodziła się w konflikt.

Ponomariow zasłynął przeprowadzanymi niemal codziennie konferencjami prasowymi, podczas któ-

rych straszył aresztami dziennikarzy za pisanie „nieprawdy”. Na jednej z nich pokazał zatrzymanych obserwatorów OBWE, wśród których był obywatel Polski.

Konferencje Girkin jeszcze mógł zaakceptować, ale tworzenia przez Ponomariowa własnego uzbrojonego oddziału już nie. Ich współpraca zakończyła się aresztem „ludowego mera”. Został wypuszczony z celi dopiero, kiedy Girkin wraz ze swoimi bojownikami wycofał się do Doniecka.

Ponomariow podobnie jak Girkin ostatecznie wyjechał do Rosji i w ostatnich latach było o nim cicho. Aż do 28 maja, kiedy jeden z rosyjskich kanałów na Telegramie opublikował wideo, na którym pozuje z bronią w zająętym przez rosyjską armię Łymanie w obwodzie donieckim. Jak mówi na nagraniu, do domu w Słowiańsku pozostało mu tylko 36 kilometrów. Od tego czasu rosyjska armia nie zdołała podejść pod sam Słowiańsk, a o Ponomariowie znów zrobiło się cicho.

Od „premiera” do deputowanego

13 kwietnia 2014 r. w internecie pojawiło się nagranie rozmowy, podczas której człowiek o pseudonimie „Strielok” melduje o udanej operacji likwidacji oficerów Służby Bezpieczeństwa Ukrainy w pobliżu Słowiańska. „Strielok” to Girkin, a jego rozmówcą był Aleksandr Borodaj.

Obaj byli znajomi od 1996 r. Borodaj jako korespondent wojenny relacjonował pierwszą wojnę czeczeńską dla RIA Novosti i NTW. Był też stałym współpracownikiem gazety „Zavtra”, która propagowała rosyjski imperializm.

Później Borodaj był doradcą u wspomnianego oligarchy Małofiejewa. Pojawiały się informacje o jego współpracy z FSB. To właśnie Borodaj, a nie nikt z miejscowych separatystów, został pierwszym „premierem” DRL. Wytrwał na tym stanowisku do 7 sierpnia. Po powrocie do Rosji utworzył Związek Ochotników Donbasu. W odróżnieniu od

Girkina, z którym popadł w konflikt, zajął „konstruktywną pozycję” i nie krytykował Kremla za jego politykę wobec Donbasu. To mu się opłaciło – jest teraz deputowanym w Dumie, do której się dostał z listy partii Jedna Rosja.

W pierwszym wywiadzie po wyborach stwierdził, że Ukraina powinna być jako państwo unicestwowiona, a tzw. Noworosja (wschodnie i południowo-wschodnie tereny Ukrainy) powinna wejść w skład FR.

Po 24 lutego jest jednym z komentatorów działań rosyjskiej armii w Ukrainie. Pod koniec lipca Borodaj stwierdził, że Rosja prowadzi „operację wojskową” w Ukrainie zbyt delikatnie.

Na linii frontu

Pod koniec maja były „ludowy gubernator” obwodu donieckiego Paweł Gubarijew napisał w Telegramie, że znajduje się w obwodzie charkowskim, i wystawił swoją fotografię z bronią. W jednym z późniejszych wpisów stwierdził, że zaciągnął się do armii FR jako szeregowy jeszcze w lutym.

Urodzony w Donbasie Gubarijew w młodości należał do prorosyjskich nacjonalistycznych organizacji. Był jednym z ideologów utworzenia tzw. Noworosji. Po półrocznej przygodzie w roli „gubernatora” pełnił inne funkcje w tzw. DRL, a z czasem został odsunięty na boczny tor i w ostatnich latach niewiele było o nim słychać.

Radio Swoboda
opublikowało otrzymane od ukraińskich służb nagranie rozmowy, z której wynika, że Gubarijew z oddziałem samowolnie wycofali się z frontu

Dzięki rosyjskiej agresji przeciwko Ukrainie do „polityki” wróciła żona Gubariewa Jekaterina, była „minister spraw zagranicznych DRL”, która w 2018 r. wycofała się z życia publicznego. 16 lipca okazało się, że została mianowana zastępcą kierownika władz okupacyjnych w obwodzie chersońskim.

Po rosyjskiej stronie walczy również, i to już od ponad ośmiu lat, Oleksandr Chodakowski. Do wybuchu wojny w Donbasie był dowódcą oddziału specjalnego SBU Alfa w Doniecku. Przeszedł na stronę Rosji, stworzył swój batalion Wostok.

Chodakowskiemu wielokrotnie zarzucano, że działał w interesach najbogatszego Ukraińca Rinata Achmetowa, który sam wywodzi się z Doniecka. Według tej wersji, oligarcha jest współodpowiedzialny za wybuch w Donbasie, który starał się kontrolować, ale sytuacja wymknęła mu się spod kontroli.

Sam Chodakowski szybko utracił wpływy polityczne w DRL, a po nacjonalizacji przedsiębiorstw w części Donbasu kontrolowanej przez Rosję przestał być też cenny dla Achmetowa. Ale w odróżnieniu od wielu innych postaci „rosyjskiej wiosny” pozostał żywy i nadal dowodzi pozostałościami batalionu Wostok. Jego oddział brał wraz z rosyjską armią udział w oblężeniu Mariupola.

Aferzysta szykuje trybunał dla Azowców

Wielu innych uczestników wojny w Donbasie nie ma już wśród żywych. W ostatni dzień sierpnia 2018 r. eksplozja w kawiarni w centrum Doniecka zabiła następcę Borodaję na stanowisku premiera tzw. DRL Aleksandra Zacharczenkę. Jego miejsce zajął Denis Puszylin, były handlowiec i naganiasz piramidy finansowej MMM-2011. Był rzecznikiem prorosyjskich bojowników w Doniecku, zastępcą Gubariowa i przewodniczącym parlamentu tzw. DRL. Przy wsparciu rosyjskiej wierzchności udało mu się pozbyć większości politycznych oponentów. ●



Warmia i Mazury kontynuują własny program in vitro

Chociaż na szczeblu krajowym trwa gorąca dyskusja na temat słuszności programów In Vitro, a zwolennicy i przeciwnicy naprzemiennie przedstawiają swoje argumenty, fakty są jednoznaczne.

Wwielu województwach i miastach programy te działają od wielu lat, a radość świeżo upieczonych rodziców jest nie do przecenienia. Podobnie sytuacja ma się na Warmii i Mazurach...

Trwa druga edycja programu In Vitro zaproponowanego przez Zarząd Województwa Warmińsko-Mazurskiego. Tym razem na ten cel została przekazana kwota 350 tysięcy złotych. – Jesteśmy pewni, że kwota ta będzie rosła i z roku na rok będziemy mogli pomóc większej ilości par.

Chętnych do rozpoczęcia leczenia niepłodności nie brakuje. Chcielibyśmy, by ten problem po prostu nie istniał, ale skoro jest, to dobrze, że medycyna dała wyjście z tej sytuacji – mówi Wicemarszałek Województwa Warmińsko-Mazurskiego Marcin Kuchciński.

Do Zarządu Województwa napływają optymistyczne dane. Dzięki trwającemu od 2021 roku programowi In Vitro na świat przyszło już 8 maluchów (2 chłopców i 6 dziewczynek, dane na sierpień b.r.).

– Mamy informacje o kolejnych 8 ciążach w tym jednej bliźniaczej – dodaje Marszałek Kuchciński. „Najbardziej motywujące do pracy nad tym programem są nieustanne wiadomości od rodziców. Mówię tu zarówno o tych świeżo upieczonych i tych, którzy chcą przystąpić do programu. Radość z potomka, albo nadzieja i szansa jaką otrzymują, niejednokrotnie wywołuje łzy szczęścia. To utwierdza nas w przekonaniu, że decyzja o starcie programu była słuszna i będzie kontynuowany” – przekonuje Wicemarszałek Kuchciński.

Według analiz w Województwie Warmińsko-Mazurskim ponad 55 tys. par boryka się z problemem niepłodności. Program Samorządu Województwa dla par mających problem z płodnością jest odpowiedzią na brak programu rządowego.

Anita Karwowska, Rafał Wójcik

Opublikowany w piątek na stronie Sądu Apelacyjnego w Warszawie list Piotra Schaba, prezesa tego sądu, a zarazem rzecznika dyscyplinarnego sędziów sądów powszechnych, jest odpowiedzią na pismo pierwszej prezes Sądu Najwyższego Małgorzaty Manowskiej.

Manowska zwróciła się do Schaba w sprawie dwóch sędzi Sądu Apelacyjnego w Warszawie. Korespondencja między Manowską a Schabem to kolejna odsłona ciągnącej się od początku sierpnia sprawy przeniesienia dwóch doświadczonych karnistów – Ewy Leszczyńskiej-Furtak oraz Ewy Gregajtys – z pionu karnego do III Wydziału Pracy i Ubezpieczeń Społecznych Sądu Apelacyjnego.

Szkodliwa decyzja

Obie sędznie odmawiały orzekania z tzw. neo-sędziami i stosowały się do orzeczeń międzynarodowych trybunałów. Stowarzyszenie Sędziów Polskich „Iustitia” nazwało nagłe przeniesienie oczywistą szykaną i odwetem na sędziach stosujących prawo europejskie. Przeciwno tej decyzji, podjętej bez podania przyczyny przez wiceprezesa Sądu Apelacyjnego w Warszawie Przemysława Radzika, protestowało w ostatnich dniach ponad 100 prawników. Nieoczekiwanie przyłączyła się do nich Manowska. 16 sierpnia wystosowała do Schaba publiczny apel o zmianę tej decyzji.

„Przenoszenie doświadczonych sędziów, szczególnie na poziomie sądu apelacyjnego, szkodzi obywatelom, stronom postępowań, gdyż jest oczywiste, że sędzia, który przez wiele lat specjalizował się w określonej

*Orzeczności mojej pracy
świadczą 100-proc. stabilność
wydawanych przeze mnie
orzeczeń*

EWA LESZCZYŃSKA-FURTA
sędzia

dziedzinie prawa, musi ponownie wdrażać się do orzekania w innej dziedzinie prawa. Spowalnia to postępowanie sądowe i grozi podjęciem błędnych decyzji orzeczniczych” – argumentowała.

Piotr Schab odpisał, że nie ma zamiaru zmienić decyzji. Jak wyjaśnił w liście do Manowskiej, przyczyną przeniesienia jest długotrwała negacja przez obie sędznie „wy-

Prezes Schab się nie cofa

Prezes Sądu Apelacyjnego w Warszawie podtrzymuje decyzję o przeniesieniu dwóch niezależnych sędzi. „Oczekuję, że Pan Prezes Piotr Schab wykaże kierowane pod moim adresem zarzuty” – odpowiada sędzia Ewa Leszczyńska-Furtak.



• Ewa Leszczyńska-Furtak FOT. MARIUSZ GRZELAK/REPORTER

konywania fundamentalnych obowiązków służbowych”.

„Sędznie były niesforne”

W piśmie prezesa SA czytamy: „Manifestowana w szeregu pism kierowanych do władz Sądu oraz w licznych orzeczeniach i oświadczeniach wobec stron postępowań ocena statusu zawodowego innych sędziów jest z jed-

nej strony jaskrawym przekroczeniem podstawowych wymogów etyki sędziowskiej, z drugiej natomiast torpeduje należyte wykonywanie służby publicznej w Sądzie Apelacyjnym w Warszawie, skoro osoby, o których mowa, uzurpują sobie tytuł do otwartej odmowy orzekania w składach kolegialnych, tworzonych z większością sędziów II Wydziału Karnego tego Sądu”.

Według Piotra Schaba przeniesienie sędzi z wydziału karnego do wydziału pracy pozbawia je „sposobności orzekania w składach kolegialnych, a zarazem prowadzi do pełniejszego wykorzystania ich potencjału zawodowego w jednostce organizacyjnej, charakteryzującej się w ostatnim czasie ogromnym wpływem liczby spraw, poddanych jej kognicji”.

Pismo prezesa sądu skomentował na Twitterze mec. Michał Wawrykiewicz z Inicjatywy Wolne Sądy.

„Pan Schab był łaskaw odpowiedzieć p. Manowskiej, że musiał po prostu przywołać do porządku Panie Sędznie warszawskiego SA Leszczyńską-Furtak i Gregajtys, ponieważ były tak niesforne, że w swoich orzeczeniach i oświadczeniach stosowały wprost orzeczenia europejskich trybunałów” – napisał adwokat.

Sędzia: To pomówienia

Rzecznikowi dyscyplinarnemu odpowiedziała sama Leszczyńska-Furtak. Jej oświadczenie opublikowało Forum Współpracy Sędziów. Sędzia twierdzi, że publicznie dyskredytuje się jej służbę, którą pełni „nienagannie od 25 lat”.

„Czuję się w obowiązku zapewnić, że w swojej praktyce orzeczniczej nie odmówiłam nigdy sprawowania wymiaru sprawiedliwości, rozpoznając wszystkie sprawy skierowane do mojego referatu i sporządzając w ustawowym terminie uzasadnienia wszystkich wydanych orzeczeń. O rzetelności mojej pracy świadczy 100-proc. stabilność wydawanych przeze mnie orzeczeń” – pisze sędzia.

Leszczyńska-Furtak wskazuje, że odmawiały orzekania z tzw. neosędziami i stosowały się do orzeczeń międzynarodowych trybunałów oraz Sądu Najwyższego. Sędzia argumentuje, że robiła to, bo nie chciała „narażać stron postępowania na udział w procedurze, która może rodzić daleko idące negatywne konsekwencje finansowe”.

Zaznacza, że nie podważała porządku konstytucyjnego, ale wprost odwoływała się do „powinności jego respektowania”. Jak dodaje, nigdy nie podnosiła „żadnych zarzutów wobec jakiegokolwiek sędziego o charakterze osobistym, w szczególności o obraźliwym charakterze”. A imputowanie jej takich zachowań odbiera jako pomówienia.

„Oczekuję, że Pan Prezes Piotr Schab wykaże kierowane pod moim adresem zarzuty, upubliczniając zapisy dźwięku z przebiegu rozpraw, do których odwołuje się w swoim oświadczeniu. Nadmieniam przy tym, że nie mam żadnej wiedzy o tym, aby takie zapisy – w odniesieniu do składu orzekającego, w którym zasiadałam – zostały kiedykolwiek sporządzone, jeśli czyniono to bez wiedzy składu sądu orzekającego, to nie mogą zawierać przytaczanych w oświadczeniu treści, wszak takie zdarzenia nie miały miejsca” – dodaje na koniec sędzia. ●

Donald Tusk o „upiornej Wiejskiej”

– Ja bym do piekła poszedł nawet po to, żeby uratować Polskę przed tym bałaganem, jaki nam zgotowano – tak Donald Tusk wyjaśniał wczoraj, co miał na myśli, gdy mówił o „upiornej Wiejskiej”.

Słowa Donalda Tuska padły w piątek, przed wywiadem porannym w TVN 24. Szef Platformy Obywatelskiej nie wiedział, że jest nagrywany. To nagranie ujawniła sama stacja, w aplikacji TVN 24 Go.

Tusk tuż przed wejściem na antenę powiedział do Agaty Adamek:

Tusk: – Demotywuje mnie świadomość, że będę musiał kandydować.

Adamek: – Że co?

Tusk: – Że będę musiał kandydować.

Adamek: – Będzie musiał pan kandydować.

Tusk: – To jest tak upiorna myśl, że ja będę tam z powrotem siedział... na tej Wiejskiej.

Agata Adamek w sobotę na Twitterze napisała, w jakim kontekście padły te słowa. „Rozmawialiśmy o stylu obecnego parlamentaryzmu – w tym o zachowaniu marszałka Terleckiego wobec dziennikarzy, a więc przecież także wobec naszych Widzów”.

Wczoraj podczas konferencji prasowej padło pytanie o piątkowe słowa Tuska. – Wiecie co, ja myślałem, że dość delikatnie się wyraziłem na temat Sejmu pod rządami PiS. To, co stało się z Sejmem w ostatnich latach, to jest coś upiornego – mówił szef PO. – Słyszałem premiera Morawieckiego, że obrazi-

łem wszystkich ciężko pracujących Polaków. Panie premierze, niech pan się chociaż raz spotka z ciężko pracującymi Polakami. Niech ich pan spyta, czy Sejm pod rząda-

Słowa Donalda Tuska padły w piątek, przed wywiadem porannym w TVN 24. Szef Platformy Obywatelskiej nie wiedział, że jest nagrywany. To nagranie ujawniła sama stacja, w aplikacji TVN 24 Go

mi Terleckiego i Witek jest symbolem miejsca ciężkiej pracy. Myślę, że usłyszy dużo mocniejsze opinie niż moja w studiu TVN.

Tusk twierdzi, że na wizji powiedziałby mniej więcej to samo. I uważa, że jego słowa nie są szczególnie odkrywcze. – Nie chcę nikogo epatować zbyt ciężkimi sformułowaniami, ale w jakimś sensie jest symboliczne to, że PiS zdecydował, że do połowy września Sejmu nie będzie, wtedy, kiedy ci ciężko pracujący Polacy potrzebują pomocy ze strony władzy – przypomniał, nawiązując do katastrofy ekologicznej na Odrze.

Zadeklarował, że zrobi wszystko, aby Sejm stał się trochę innym miejscem niż w tej chwili.

– Sejm jaki jest, taki jest; co ludzie myślą o posłach i władzy PiS,

to mniej więcej wiemy. Ja bym do piekła poszedł nawet po to, żeby uratować Polskę przed tym bałaganem, jaki nam zgotowano. Zrobię wszystko, żeby ten Sejm stał się trochę innym miejscem niż w tej chwili i żeby wrócił elementarny szacunek do władzy, bo dziś nie ma powodu, żeby ciężko pracujący Polacy z jakimś nadmiernym szacunkiem i uznaniem o pisowskiej większości się wypowiadali.

Słowa Tuska o „upiornej Wiejskiej” były od piątku cytowane przez rządowe media, a politycy PiS (po słowie, premier, rzecznik partii) stale je komentowali, głównie w tym duchu, że leniuchowi Tuskowi nie chce się pracować w Sejmie, bo nie będzie miał czasu „na whisky, cygara i haratanie w galę”. ●

Agnieszka Kublik

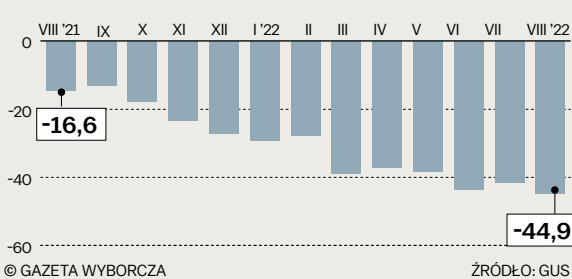
1029

MLN TON

• Tyle wyniosła emisja CO₂ w Unii Europejskiej w I kwartale 2022 r. To o 6 proc. więcej niż rok wcześniej, ale symbolicznie poniżej poziomu sprzed pandemii (o 6 mln t)

Wskaźnik ufności konsumenckiej

Dane w pkt



© GAZETA WYBORCZA

ŹRÓDŁO: GUS



Żeby spowolnienie gospodarcze nie było tak duże to się ambitnie planuje różnego rodzaju inwestycje. I odbudowę Pałacu Saskiego też można w ten sposób traktować

JAROSŁAW SELLIN

wiceminister kultury

Jak żyć w czasach inflacji?

Minimalisi nie oszczędzają

„Oszczędzanie pieniędzy jest dla bogatych. Biedny kupuje na zapas, póki go jeszcze na cokolwiek stać” – mówi nam jedna z bohaterek reportażu o życiu za pensję minimalną.

Marta Piątkowska

Pensja minimalna to co-rocennie ustawowo regulowana kwota, poniżej której nie można płacić pracownikowi. Obecnie wynosi 2363 zł na rękę.

Ci, którym ta kwota musi wystarczyć na cały miesiąc, a szacuje się, że to grupa licząca ponad 2 mln osób, faktycznie są w stanie się za nią utrzymać, ale swoje życie porównują do próby przetrwania kolejnego miesiąca. Tyle że to wyzwanie coraz trudniej-

sze, gdyż ceny rosną coraz szybciej.

„Kiedy stałe wydatki pochłaniają połowę wypłaty, to człowiek właściwie węgtuje. Na jedzenie wydają nie więcej niż 500 zł miesięcznie, ale widzę, że choć kwota jest ta sama, to zmienia się jego jakość. Nie stać mnie już na gotowanie zupy na skrzydełkach czy korpusach. Nawet to stało się za drogie – opowiada 40-letnia Beata.

Robienie zakupów stało się slalomem między promocjami, między opcją ta-

nią i jeszcze tańszą. Oszczędzanie prądu do granicy absurdu. Dorabianie w każdy możliwy sposób. W końcu i wykluczenie towarzyskie.

26-letnia Maja boi się planować przyszłość. – Najgorsze jest poczucie bezradności i lęk, że utknę w takim zawieszeniu na lata, a z każdym miesiącem będzie mnie stać na coraz mniej rzeczy. Na razie nikt nie głoduje i nie chodzimy w dziurawych ubraniach, ale można powiedzieć, że życie w pewnym stopniu zamarło. ● ► II-III

Dr hab. Ryszard Szarfenberg dla „Wyborczej”*

• Dla osób i rodzin uboższych wysoka inflacja jest dużo gorsza nie tylko ze względu na wzrost cen, ale również z uwagi na ograniczone możliwości zwiększania dochodu z pracy i stagnację dochodu ze świadczeń na dzieci. Ekspert z dużego miasta

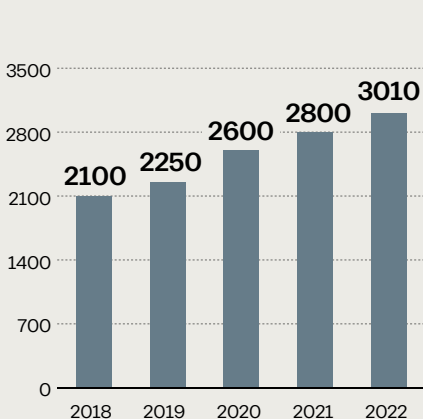
szybciej niż sprzątaczką z małej miejscowości znajduje dobrze płatną fuchę. Będzie miał też lepszą pozycję przetargową w rozmowie ze zleceniodawcą. • Znalezienie oszczędności przy niskich dochodach jest trudne ze względu na bardzo ograniczoną prze-

strzeń dla racjonalizacji wydatków. W kryzysowych sytuacjach można jeszcze bardziej dokręcić śrubę, ale oczywiście kosztem poziomu i jakości życia swojego i dzieci. ●

*dr hab. Ryszard Szarfenberg, prof. UW, ekspert ds. polityki społecznej

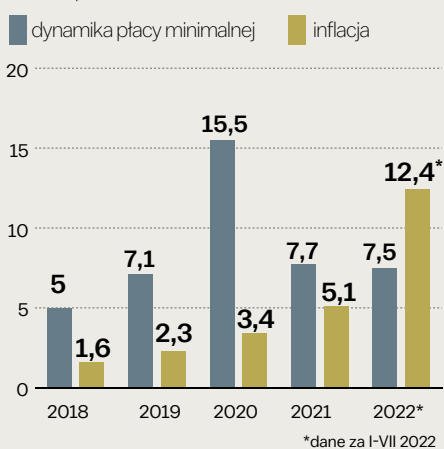
Wysokość płacy minimalnej

Dane w zł brutto



Dynamika płacy minimalnej a inflacja

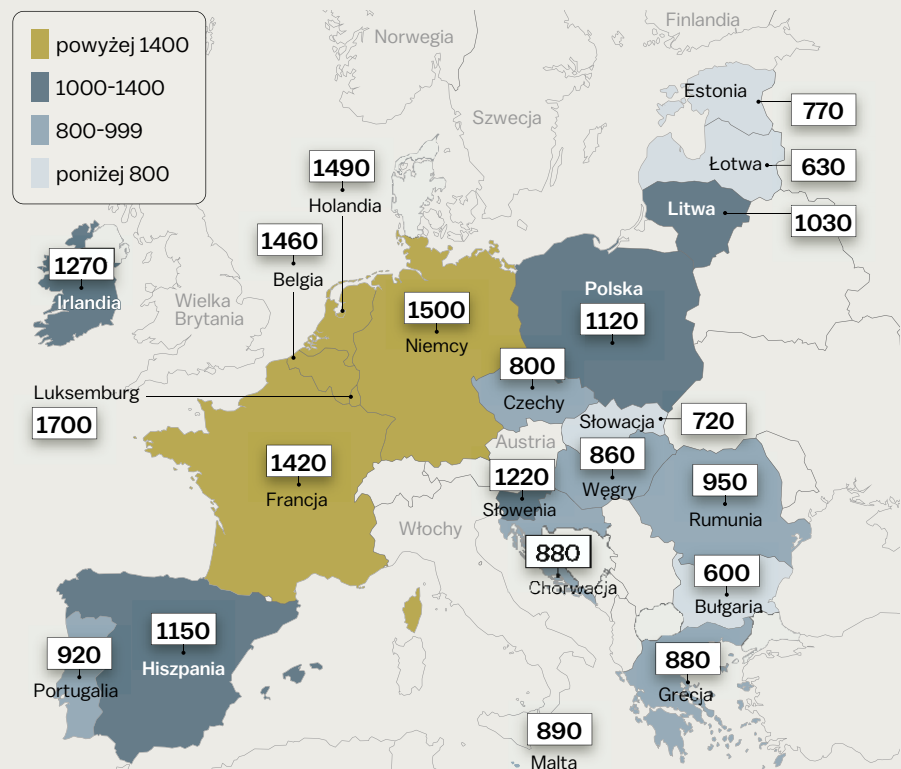
Dane w proc.



*dane za I-VII 2022

Pensja minimalna w wybranych krajach UE

według parytetu siły nabywczej PPS*, styczeń 2022 r.



*PPS standard siły nabywczej, jest sztuczną jednostką walutową używaną przez Eurostat. Teoretycznie za jeden PPS można kupić tę samą ilość dóbr i usług w każdym kraju.

© GAZETA WYBORCZA

ŹRÓDŁO: GUS, EUROSTAT

Płaca minimalna

• zł brutto

3 010

• zł netto

2 363,56

Minimalna stawka godzinowa

• zł brutto

19,70

• zł netto

13,91

Mediana zarobków

• zł brutto

5 100

• zł netto

3 806,72

Średnia krajowa

• zł brutto

6 644,39

• zł netto

4 859,43



FOT. MACIEK JAZNIECKI/AGENCJA WYBORCZA.PL

Marta Piątkowska

W 2022 r. płaca minimalna wynosi 3010 zł brutto. Po zmianach podatkowych wprowadzonych w ramach nowelizacji „Polskiego Ładu” to 2363,56 zł na rękę.

Według szacunków obecnie wynagrodzenie tej wysokości pobiera 2,2 mln Polaków. Najczęściej są to pracownicy budżetówki, osoby o niskich kwalifikacjach zawodowych wykonujący proste prace oraz osoby z terenów, gdzie oferta zatrudnienia nie pozwala na osiągnięcie wyższych dochodów.

Jak wygląda życie, kiedy na konto wpływa tak niewiele? Czy da się przetrwać drożyzną? Na czym jeszcze oszczędzać?

BEATA,
40 lat. Singielka.

Pracuje w biurze. Zarabia 2,7 tys. zł. na rękę. Od 12 lat wynajmuje 10-metrowy pokój w starym bloku na warszawskiej Pradze. Skończyła technikum ekonomiczne

Do Warszawy przyjechałam w 2004 r., bo w moich rodzinnych stronach, czyli na Podlasiu, w tamtym okresie w ogóle nie było pracy. Myślałam, że w stolicy będzie to dużo prostsze i nie tylko utrzymam siebie, ale również będę mogła wysyłać pieniądze matce i siostrze. Dziś, po prawie 20 latach, mogę powiedzieć tylko tyle, że niczego, co sobie zaplanowałam, nie udało mi się zrealizować.

Pracy w Warszawie nie było tak dużo, jak zakładałam. Nie miałam doświadczenia zawodowego, więc nikt nie chciał zatrudnić mnie w biurze. Praca przy liniach produkcyjnych albo w sklepie? Mam 155 cm wzrostu, ważyłam wtedy ok. 42 kg, jak potencjalni pracodawcy mnie widzieli, z miejsca zakładali, że sobie nie dam rady. Kilka razy usłyszałam: „Pani nawet nie dosięgnie do ostatniej półki, żeby rozłożyć towar”.

Skończyło się na tym, że kompletnie nie znając miasta, zostałam dyspozytorką w jednej z korporacji takśówkarskich. Obsługiwałam zgłoszenia, patrząc na papierową mapę Warszawy i okolic wiszącą na ścianie.

Zarobki zawsze były kiepskie i oscylowały w okolicach 900 a 1300 zł w zależności od liczby dyżurów. Umowa-zlecenie. To były czasy, kiedy pracownikowi zatrudnionemu w ten sposób płaciło się tyle, ile się chciało. Dolne widełki nie istniały. Mimo to przez wiele, wiele lat to była najlepsza praca, jaką udało mi się znaleźć.

Jak ktoś wyjdzie z naprawdę biednego domu i całe życie nie ma pieniędzy, to taka inflacja, jaką mamy teraz, nie robi na nim wrażenia. Przynajmniej na mnie. I tak przez większość czasu na nic nie mogłam sobie pozwolić. Natomiast lata doświadczeń nauczyły mnie dwóch rzeczy: biednego nie stać na kupowanie dziadostwa, a od pieniędzy w kieszeni ważniejszy jest zapas jedzenia w szafkach.

Kilka razy miałam taką sytuację, kiedy zachorowałam i nie chodziłam do pracy, więc zamiast tego 1100 zł na konto wpływało mi 700 zł. Za pokój płaciłam wtedy 420 zł. Po kupieniu karty miejskiej i rachunków zostawało mi ok. 150 zł na przeżycie miesiąca. W takich chwilach wołałam mieć w szafce zapas ryżu i kaszy niż odłożone 100 zł w skarpecie. Wyniosłam to z domu. Matka też kupowała na zapas, zanim ojciec zdążył przepić wypłatę.

Wciąż mieszkam w tym samym pokoju, ale obecnie płacę za niego już 950 zł. Rachunek za prąd i gaz to średnio 130-150 zł. Na szczęście dziewczyna, która mieszka za ścianą, również jest bardzo oszczędna. Na przykład cały czas mamy podniesione rolety i odsunięte firanki, żeby jak najdłużej korzystać ze światła dziennego. Urządzenia elektryczne, z których korzystamy od czasu do czasu, całkowicie wyłączamy z kontaktu, standby też pobiera prąd. Telefony staramy się ładować w pracy. To pewnie wyda się kontrowersyjne, ale skoro to sprzęt służbowy i głównie w tym celu wykorzystywany, to czemu mam dokładać do interesu?

Jak któraś ma zamiar korzystać z piekarnika, to mówi o tym drugiej. Bardzo często pieczemy coś równocześnie, np. ja mięso na kanapki, a ona buraki albo inne warzywa.

Sama często gotuję też na parze. Wygląda to w ten sposób, że w garnku na dole gotują się ziemniaki, a na sitku mięso albo warzywa. Wszystko jest kwestią grubości kawałków. Kurczak bez problemu będzie gotowy w ciągu 20 minut.

Wybierając produkty spożywcze, dużą wagę przywiązuję do tego, ile czasu będę musiała je gotować. Co z tego, że biała fasola jest w promocji, skoro potrzebuje około dwóch godzin, żeby być miękka? Dlatego wybieram czerwoną soczewicę. Tej po wcześniejszym namoczeniu w wodzie wystarczy poniżej 10 minut, a można z niej zrobić nawet ciasto.

Przy takiej inflacji, jaką mamy obecnie, wolę kupić coś z długą datą ważności, niż odłożyć te 100 czy 200 zł,



RYS. HANNA PRZYŃSKA

Jak się żyje za pensję minimalną?

„Zostawało mi ok. 150 zł na przeżycie miesiąca. W takich chwilach wołałam mieć w szafce zapas ryżu i kaszy niż odłożone 100 zł w skarpecie”. Oto relacje doświadczonych życiem za mniej, niż się da

Badania: Polacy bez oszczędności na czarną godzinę

• Co czwarty z nas nie ma oszczędności, co trzecia osoba aktualnie nie odkłada pieniędzy – wynika z badania „Oszczędzanie w obliczu wysokiej inflacji” przeprowadzonego na zlecenie Banku Millennium. Jako główną przyczynę takiego stanu rzeczy wskazujemy zbyt niskie zarobki (57 proc. odpowiedzi), brak umiejętności oszczędzania (13 proc.) oraz zupełny brak dochodów

(12 proc.). 7 proc. badanych nie oszczędza, ponieważ nie czuje takiej potrzeby. Zapytani o stosowaną strategię oszczędzania Polacy najczęściej wskazują, że odkładają część zarobków, kiedy tylko pojawia się taka możliwość (39 proc. badanych). Blisko jedna trzecia ankietowanych (29 proc.) regularnie co miesiąc przeznaczają na ten cel stałą kwotę. 19 proc. Polaków gromadzi

pieniądze wtedy, gdy planuje większą inwestycję lub wydatek związany np. z wyjazdem na wakacje, wyprawką szkolną, zakupem samochodu czy telefonu. Co dziesiąty (9 proc.) inwestuje nadwyżki pieniędzy. Oszczędzanie kojarzy nam się bardziej z zabezpieczeniem finansowym niż powiększaniem majątku. Aż 60 proc. buduje w ten sposób poduszkę na czarną godzinę, a 44 proc.

robi to z myślą o nieprzewidywalnych wydatkach. W ostatnim czasie znaczna grupa musiała wspomagać codzienny budżet zaskórniami. Aż 40 proc. przyznało, że kwota ich oszczędności zmalała od początku roku. Taki sam poziom zgromadzonego kapitału utrzymało 30 proc. pytanym, natomiast kolejne 30 proc. deklaruje, że kwota ich oszczędności wzrosła. ●

bo kiedy będę zmuszona po nie sięgnąć, będą już dużo mniej warte. Obecnie w domu mam zapas kaszy gryczanej, jaglanej, jęczmiennej i ryżu. Tak po 3 kg każdej. Przechowuję w słoikach, żeby mole nie były szybsze ode mnie. Do tego wspomniana czerwona soczewica, suszone kotlety sojowe, trochę kostek rosółowych. Nie jestem zadowolona, że do nich wróciłam, ale gotowanie zupy na mięsie, nawet na kościach, stało się dla mnie za drogie. Mrożenie jest drogie, bo wtedy lodówka ciągnie więcej prądu, więc warzywa suszę. Marchewka, seler, zielona część pora – wszystko, co stanowi bazę zupy.

Mam też trzy torebki kawy, paczkę herbaty, kilka puszek pasztetu, suchych drożdży i cukru wanilinowego. Wystarczą mąka, jajko i olej, żeby upiec błachę drożdżowego. Skusiłam się też na mleko w proszku i kakao. Zrobiłam trochę przetworów z warzyw.

Kiedy stale wydatki pochłaniają połowę wypłaty (mieszkanie wraz z opłatami średnio 1100 zł, internet 40 zł, karta warszawiaka kupowana raz na kwartał 250 zł, czyli 83 zł miesięcznie, plus leki 150 zł, razem 1373 zł), to człowiek właściwie wegetuje. Na jedzenie wydaję nie więcej niż 500 zł miesięcznie, ale widzę, że choć kwota jest ta sama, to zmienia się jego jakość. W tym sezonie tylko trzy razy jadłam truskawki. Raz młodą kapustę. Nigdy nie próbowałam szparagów. Mięso praktycznie całkowicie wypadło z mojego menu, ale to akurat niewielka strata, bo za nim nie przepadam. Mimo wszystko starałam się gotować zupę na skrzydełkach, szyjce albo korpusach, ale te ostatnio tak podrożały, że jako bazy używam cebuli mocno podsmażonej na oleju i kostek rosółowych.

Każdego miesiąca odkładam 75 zł na dentystę, bo przez lata nie chodziłam i teraz czeka mnie długie i koszmarnie drogie leczenie. Trzy zęby wymagają kanałowego leczenia. Zastanawiam się, czy ich nie wyrwać. Tak będzie taniej.

Do rodzinnego domu jeżdżę tylko na święta, bo raz, że podróż jest droga, dwa, to oznacza, że za każdym razem musiałabym kupować wszystkim prezenty. Staram się im pomagać, jak mogę, ale mam trzy siostry, a one łącznie ósemkę dzieci. Głupia czekolada dla każdego z nich to już 30 zł. Prezenty gwiazdkowe i urodzinowe to kolejna rzecz, na którą odkładałam 100 zł miesięcznie.

Na co rozchodzi się reszta pieniędzy? Pracuję w biurze, między ludźmi, więc nie mogę wyglądać jak obdartus. Dezodorant, lakier do włosów, jakiś krem do twarzy, tusz do rzęs za kilka złotych. Raz w życiu miałam oryginalne perfumy. Dostałam kilka lat temu od koleżanek z tej korporacji taksówkarskiej, kiedy odchodziłam. Do dziś trzymam flakon.

MAJA,
26 lat, urzędniczka państwowa.

Zarabia niecałe 2500 zł miesięcznie na rękę. Po maturze. Mieszka w średniej wielkości mieście w woj. wielkopolskim

Kocham moje rodzinne miasto, nie chcę stąd wyjeżdżać, ale prawda jest taka, że w obecnej sytuacji moje perspektywy na odczuwalną poprawę sytuacji materialnej są równe zeru. Praca może i jest, ale głównie ciężka i fizyczna, czyli dla mężczyzny. Dla kobiet z moim wykształceniem i doświadczeniem do wyboru jest kasa w sklepie albo w okienku w urzędzie.

dzie. Na kasie pewnie zarobiłabym z 200 zł na rękę więcej, ale ze względu na cukrzycę typu I nie mogę pracować w trybie zmianowym.

Mieszkam z rodzicami i prędko się od nich nie wyprowadzę. Dziś wynajem kawalerki kosztuje tyle, co rok temu dwupokojowego mieszkania, czyli między 1200 a 2000 zł w zależności od standardu i lokalizacji. Dwupokojowe mieszkanie z kimś na spółkę to między 1600 a 2500 zł, ale te tańsze to tak naprawdę kawalerki z oddzielną klitką na łóżko, czyli dramat.

Z zarobionych pieniędzy staram się odłożyć 500 zł miesięcznie. 200 zł kosztują moje leki. 1000 zł oddaję rodzicom. Tata jest na rencie (2000 netto), a mama pracuje na pół etatu w szkole (1800 zł).

Reszta zostaje mi na utrzymanie samochodu i przyjemności, z których właściwie został jedynie spacer, bo jest za darmo.

Niedawno szukałam w internecie porad dotyczących oszczędzania. Myślałam, że to będzie na poważnie, a oni podpowiadali, że- by zamiast kupować popcorn w kinie, najeść się przed wyjściem z domu lub po seansie. Albo żeby nie kupować drogich i modnych ubrań i ograniczyć jedzenie na mieście. Tego to chyba nie trzeba ludziom podpowiadać.

Wybierając produkty spożywcze, dużą wagę przywiązuję do tego, ile czasu będę musiała je gotować. Co z tego, że biała fasola jest w promocji, skoro potrzebuje około dwóch godzin, żeby być miękka?

Ze znajomymi praktycznie przestaliśmy spotykać się na mieście. Zamiast do pizzerii idziemy do dyskontu, kupujemy mrożone pizze, jakiś sok, piwo i siedzimy u tego, kto ma wolną chatę.

To loteria, bo większość z nas, mówię o pacce jeszcze z liceum, wciąż mieszka z rodzicami.

Z rodzicami też staramy się oszczędzać na tym, co możemy. Na przykład w tym roku mama posadziła na balkonie zamiast kwiatów ziola. Zaczęliśmy korzystać z krótszego programu w pralce. Zamiast ponad dwóch godzin trwa 40 minut. Oszczędność prądu i wody. Obsesyjnie gasimy światło po wyjściu z pomieszczenia, w czajniku gotujemy tylko tyle wody, ile ktoś aktualnie potrzebuje. Mama częściej gotuje na dwa lub trzy dni, i to dania jednogarnkowe, bo oszczędza się przy tym dużo energii. Nie robimy dużych zakupów, tylko śledzimy promocje, które wypadają w różnych częściach tygodnia w zależności od sklepu i zawsze ktoś podejdzie lub podjedzie po drodze. W lodówce od kilku miesięcy jest dużo skromniej. W domu nigdy się nie przelewało, ale zawsze była do wyboru jakaś wędlina, nawet dwa, trzy rodzaje, żółty ser, biały, śledź, jogurty, serki homogenizowane, jajka. Teraz kupujemy albo to, albo to, i jemy, dopóki się nie skończy. Dopiero kiedy już nie ma nic na kanapki, to się coś kupuje.

Nad wyjazdem wakacyjnym w tym roku nawet się nie zastanawiałam. Nigdy nie byłam za granicą, ale zdarzyło się kilka wypadów nad polskie morze. Mieliśmy ze zna-

jomymi jechać pod namiot na Mazury, ale koledzy woleli urlop wykorzystać na drugą pracę, niż wydać pieniądze, żeby odpocząć.

Ja, chociaż nie jestem w najgorszej sytuacji, bo jednak zostaje mi tych kilkadziesiąt złotych miesięcznie tylko na własne potrzeby, praktycznie całkowicie straciłam radość z zakupów. Do niedawna lubiłam kupić sobie jakiś kosmetyk, błyszczczyk czy cienie do powiek, ale teraz zwyczajnie szkoda mi pieniędzy. Zła jestem, bo cały czas myślę tylko o tym, na co mnie nie stać albo czego muszę sobie odmówić. Ostatnio wykryłam się z imprezy urodzinowej dobrej znajomej, bo było mi szkoda pieniędzy na prezent.

Najgorsze w tym wszystkim jest dla mnie poczucie beznadziei i lęku, że utknę w takim zawieszeniu na lata, a z każdym miesiącem będzie mnie stać na coraz mniej rzeczy. Na razie nikt nie głoduje i nie chodzimy w dziurawych ubraniach, ale można powiedzieć, że życie w pewnym stopniu zamarło.

JOANNA,
samotnie wychowuje dwójkę
dzieci w wieku 12 i 14 lat.

Jej były partner płaci w sumie 1000 zł alimentów. Razem ze świadczeniem 500+ ma na utrzymanie siebie i dzieci 4500 zł

Najtrudniej jest wytłumaczyć dzieciom, że nie dostaną czegoś, co do tej pory było dla nich oczywiste. Na przykład że zamiast firmowych plateków śniadaniowych będą te tańsze, marki własnej. Żeby ich nie zniechęcać, zaczęłam przesyłować je do ładnego słoja, ale zanim spróbowali, to już zdążyli wyczuć oszustwo.

Nie mam oszczędności i prawdę mówiąc, nigdy ich nie miałam. Wierzę, że w razie kryzysowej sytuacji ktoś z przyjaciół mnie poratuje. W kłopoty finansowe wpadam rzadko, ale jak już, to dość spektakularnie. Na przykład na początku tego roku straciłam pracę i przez trzy miesiące nie mogłam znaleźć nowej. W końcu wzięłam to, co było, żeby nie generować kolejnych długów, a zacząć spłacać obecne zadłużenie u własnej matki, która zresztą wytyka mi je przy każdej okazji.

Jestem jej winna jeszcze 7000 zł i szczerze mówiąc, wołałabym mieć ten dług w banku. Oni przynajmniej dzwonią o określonych porach miesiąca i nie wytykają człowiekowi życiowych decyzji.

Kończąc spłacać kredyt mieszkaniowy. Raty wraz z czynszem i opłatami typu prąd, gaz, woda, ogrzewanie wynoszą 1600 zł. Do tego internet, telefon mój i dzieci, w roku szkolnym od czasu do czasu bilety na autobus, bo mieszkamy blisko szkoły i młodzież chodzi do niej na piechotę, karma i żwirek dla kota, no i spłata mamy – wszystko razem daje 1200 zł.

Na szczęście dzieciaki hobby ogarniają we własnym zakresie. Córka uczy się rysowania z poradników w internecie, a syn w ten sam sposób gry na gitarze, którą dostał od ojca. To duża ulga. Koleżanka na same zajęcia dodatkowe dla dorosłych w wieku podobnym do moich płaci prawie 2000 zł.

Na życie zostaje nam obecnie bardzo niewiele, bo około 1700 zł. Staram się nie korzystać z karty kredytowej, bo rok temu ledwo wyszłam z zadłużenia, które ciągnęło się za mną przez kilka lat, jednak nie zawsze się to udaje. Teraz jestem już 300 zł na minusie, ale mamy początek okresu rozliczeniowego, więc będę powoli zasypywać dołek.

Dawno nie było tak źle, ale to sytuacja przejściowa. Staram się dorobić, gdzie mogę i jak mogę, ale to nie zawsze jest takie proste, a poza tym wszyscy mają długie terminy płatności. Pracować mogę tylko z domu, żeby dzieci nie przestawały być opieki całe dnie. Do babci nie chcę ich puszczać, bo zdrowie psychiczne jest ważniejsze od pieniędzy.

Na niadanie owsianka, kasza manna, czasem jaglanka. Często kupuję gotowe pierogi w dyskontach. To chyba obecnie najtańszyzy obiad, jaki moje dzieci zawsze zjedzą. Przeszłam je też zabierać na zakupy spożywcze, bo chociaż otwarcie rozmawiamy o naszych pieniądzach, to nie chcę im na każdym kroku czegoś odmawiać i tłumaczyć, że kupujemy tylko to, co w promocji.

Byłam na zakupach z synem, akurat stałam przy półce z przecenionymi produktami, kiedy obok przechodził jego kolega z klasy. Następnego dnia tamten zapytał na głos przy innych chłopakach, czy syn nie dostał szraczki od przeterminowanego żarcia, które kupuje jego matka. Syn nie odzywał się do mnie przez kilka dni.

Przez to zdarzenie staram się, żeby zawsze miał przy sobie chociaż kilka złotych. Żeby nie było sytuacji, kiedy koledzy kupią sobie na przykład picie, a mój będzie stał i patrzył.

Na wakacje oczywiście nas w tym roku nie stać, więc porozsyłałam dzieciaki po moich znajomych i rodzinie. Jeżeli koledzy ich gdzieś zaprasza, godziłam się. W ten sposób córka pojechała ze swoją przyjaciółką i jej rodzicami na dwudniowy wypad nad jezioro. Rozpalili ognisko, spalili w namiocie. Nie czułam się z tym źle, bo to był praktycznie bezkosztowy wyjazd.

Ich nieobecność wykorzystałam na dodatkową pracę, bo za moment rok szkolny i ruszy lawina wydatków, o których staram się jeszcze nie myśleć.

Ubrania, buty, kosmetyki itd. kupuję na Allegro. Korzystam z opcji rozbijania płatności na raty. Najlepiej kupować w połowie między jedną a drugą pensją, wtedy najłatwiej to ogarnąć finansowo.

Przez internet zresztą nie tylko kupuję, ale również sprzedaję różne rzeczy. Wyczyściłam już szafki z zalegającego sprzętu kuchennego, z którego nie korzystam. Pozbyłam się przeczytanych i nieulubianych książek, telewizora, wodnego masażera do stóp, kociego drapak, ubrań, do których pewnie nigdy nie schudnę. Nawet dzieciaki dały kilka rzeczy. To nasz wentyl.

W ten sposób staram się zorganizować chociaż 200 zł miesięcznie, żebyśmy mogli pójść w trójkę do kina i kilka razy na lody albo zamówić pizzę. Oczywiście domowa jest tańsza, ale chodzi właśnie o to, żeby była kupna. Włączamy wtedy jakąś komedię na laptopie i mamy miły wieczór.

Jak już innie tak całkowicie przypili, to w sklepie na dole kupuje na zeszyt. Nie sądziłam, że kiedyś do tego wrócę, ale niestety tydzień przed wypłatą jest już naprawdę bardzo cienko. I z tego, co widzę, to nie jestem jedyna.

Zaczęłam mieć problemy ze snem. Stresuję się tym, że ktoś z dzieci zachoruje i nie będę mogła go leczyć, tak jak będzie tego potrzebowało. Albo że ja zachoruję i dostanę wypłatę pomniejszoną o 20 proc. Z tego powodu w kwietniu nie wzięłam wolnego, jak miałam koronawirusa. Pracowałam zdalnie.

Moim celem jest jak najszybsze dostanie lepiej płatnej pracy, żeby – cytując klasyka – nie zacząć urządzać się w tej dupie. ●

Depresja startupowca

– Byłem pewien, że każdy biznes, którego się podejmę, okaże się sukcesem. Że mogę wszystko, że poradzę sobie z każdym problemem. Gdy wpadłem w depresję, nie miałem siły wstać z łóżka – opowiada twórca start-upu Medeocare Jakub Witkowski.

Bolesław Breczko

Gdy jego rówieśnicy martwili się co najwyżej przygotowaniami do matury, Jakub Witkowski wiedział, że chce jak najszybciej dorosnąć i zająć się biznesem.

– Znajomi myśleli o imprezach, ewentualnie o nauce, ja myślałem o biznesie i umowach. Przez to ominął mnie pewien aspekt młodości i przyznam, że czasem było ciężko, ale był to mój świadomy wybór – mówi Jakub Witkowski.

Młody przedsiębiorca nie tylko chciał więcej, ale też dawał z siebie więcej niż przeciętny nastolatek. Oprócz nauki w liceum, a potem na studiach pracował równolegle w firmie Medeor należącej do ojca. Tam zajmował się początkowo bieżącą działalnością firmy, ale w wieku 21 lat ojciec powierzył mu zadanie negocjowania wartego 1,5 mln złotych kontraktu z Narodowym Funduszem Zdrowia. Teraz, choć nie ma jeszcze 30 lat, ma za sobą już prawie 10 lat doświadczenia w prowadzeniu firm.

– Początki, zwłaszcza te negocjacje z NFZ, były cholernie stresujące, bo chociaż sama praca bezpośrednio związana z tym zajmowała mi może kilka godzin dziennie, to przez okrągłą dobę nie myślałem o niczym innym. Kładłem się spać i wstawałem, zastanawiając się, czy pomyślałem o wszystkich szczegółach i czy komisja nie zada mi pytania, na które nie będę znał odpowiedzi.

PIERWSZY SUKCES MIAŁ BYĆ ZAPOWIEDZIĄ KOLEJNYCH

Witkowskiemu udało się domknąć umowę z NFZ. W nagrodę kupił sobie nowego volkswagena golfa z wszystkimi dodatkami i gadżetami.

– Nowym samochodem cieszyłem się może miesiąc. Gdy zeszyły ze mnie emocje, poczułem, że potrzebuję kolejnego sukcesu, i byłem przekonany, że jeśli tylko wymyślę, co chcę zrobić, to na pewno ten sukces osiągnę.

Mężczyzna szukał i nawet znajdował kolejne sukcesy, jeśli nie finansowe, to osobiste. Na studiach informatycznych zawiązał największe w tamtym momencie koło naukowe, które tworzyło strony internetowe, tam też dowiedział się o sobie, że bardziej interesuje go zarządzanie niż programowanie.

Przez chwilę pracował przy likwidacji spółki działającej na terenie stoczni w Szczecinie, cały czas też pracował w Medeorze. Jednak efektownych sukcesów na miarę półtora-milionowego kontraktu z NFZ nadal nie było. Rozwój Medeora, pomimo chęci Witkowskiego, nie dawał mu wystarczającej satysfakcji. On chciał budować przełomowe produkty, ale rynek, na którym działała jego firma, nie był gotowy na większą skalę. Ludzie oczekiwali drobnych i tanich usług.

– Kolejne projekty, których się podejmowałem, ku mojemu rozczarowaniu, wcale nie były natychmiastowym sukcesem. Myślę, że już wtedy częściowo osiadłem na laurach i myślałem, że sama moja obecność w projekcie wystarczy, i nie przykładałem się do pracy tak, jak w czasie rozwijania nowej firmy.



• **Jakub Witkowski ciągle czuł głód sukcesu i nie mógł go zaspokoić. Środowisko startupowców jest niezwykle obciążające dla zdrowia psychicznego** FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Przedsiębiorca postanowił zmienić otoczenie. Z rodzinnego Szczecina przeniósł się do Warszawy, a branżę IT zmienił na branżę nieruchomości. Zaczynał od samego dołu, jako sprzedawca żyjący z prowizji w agencji nieruchomości.

– Szło mi nieźle. Już w trzecim tygodniu pracy sprzedałem swoją pierwszą nieruchomość, a większość agentów odchodzi z branży po trzech miesiącach, w których nic nie sprzedali. Ale jednak ciągle było mi mało, chciałem więcej.

Witkowski krótko pracował w agencji dla kogoś innego. Odszedł i założył swoją, która oferowała usługi niedostępne u innych w takim wydaniu, np. ofertę z rynku pierwotnego, która wtedy była dostępna głównie bezpośrednio u deweloperów, a dopiero później weszła na stałe do portfolio agencji nieruchomości. Inną nowością było oferowanie usługi zarządzania najmem dla osób, które chcą zarabiać na mieszkaniu, ale nie mają czasu na zamieszczanie ogłoszeń i pozostałe czynności z tym związane.

Niestety i to nie wystarczyło, aby zaspokoić głód sukcesu, który przedsiębiorca stale czuł. Chociaż agencja rozwijała się prężnie, to Witkowski zmagał się, na razie jeszcze nieświadomie, z depresją.

– Teraz widzę, że już w czasie pracy w pierwszej agencji nieruchomości pojawiały się u mnie symptomy depresji. Przez brak spektakularnych sukcesów, których podświadomie oczekiwałem, a także konflikty osobiste zacząłem mocno odpuszczać w pracy, przekładałem terminy, zwlekałem z załatwianiem spraw, rosła we mnie niechęć do ludzi i nawet do rozmawiania z nimi przez telefon. Założenie swojej agencji wcale mi nie pomogło, a problemy zaczęły się nasilać, bo doszedł jeszcze stres prowadzenia i bycia odpowiedzialnym za własną firmę.

NIKT NIE JEST NIEZNISZCZALNY

Depresja dopadła mężczyznę z pełną mocą.

– W pewnym momencie, prawie z dnia na dzień, straciłem całą motywację do działania i do życia. Zacząłem wymyślać wymówki, żeby nie przychodzić do biura i nie musieć spotykać się ani rozmawiać z ludźmi. Mówiłem, że pracuję z domu, albo że mam inne spotkania. Tak naprawdę całymi dniami leżałem w łóżku, bo nie mogłem znaleźć w sobie motywacji do tego, żeby z niego wstać. Paraliżował mnie strach przed kolejną rozmową telefoniczną z potencjalnym klientem zakończoną odmową, kolejną niedomkniętą umową, a nawet spotkaniami z ludźmi z pracy. Na początku takie okresy trwały po 2-3 dni. Potem to były całe tygodnie. Nie wychodziłem z domu wszystko zamawiałem przez telefon. W ciągu kilku tygodni przytyłem 30 kilogramów, które nadal próbuję zrzucić. Taki stan trwał przez rok. Nie przypuszczałem, że mogę mieć depresję.

Przedsiębiorca próbował radzić sobie z problemem sam. Tak jak większość startupowców, był przekonany, że nie ma problemu, któremu nie podola, i nie potrzebuje pomocy z zewnątrz. W takim przekonaniu, przy jednoczesnym braku woli i siły do działania, trwał przez rok. Potem, po rozmowie ze znajomą, postanowił poszukać pomocy u specjalisty.

– Jedną z podstawowych cech przedsiębiorcy jest zdolność do podejmowania ryzyka finansowego. Ja nie byłem w stanie nawet zdecydować się na wyłożenie pieniędzy na prywatnego psychiatrę. Chciałem iść na NFZ. Udało się, ale na wizytę czekałem kolejny rok. W tym czasie miewałem już myśli samobójcze i gdyby trwało to dłużej, to moglibyśmy dziś nie rozmawiać.

W Polsce liczbę osób z depresją szacuje się już na 1,5 mln, co czyni nas krajem o najniższym odsetku chorych w całej Unii Europejskiej. Jednak według raportu OECD może być to spowodowane niską świadomością zaburzeń psychicznych, stygmatyzacją chorych i trudniejszym dostępem do opieki psychiatrycznej, o którą w Polsce cały czas bardzo trudno.

– Po roku stanu depresyjnego i przepaleniu większości pieniędzy, bo prawie w ogóle nie pracowałem, zdecydowałem się poszukać pomocy. Nawet znalazłem poradnię, w której mógłbym leczyć się na NFZ, żeby nie iść prywatnie. Zapisalem się na wizytę. Najbliższy wolny termin był za rok.

PROMIEŃ NADZIEI

Podczas leczenia depresji Witkowski dowiedział się o sobie wiele: że nie jest niezniszczalny, że jego problemy nie są wyjątkowe, że niektórym własnym wymaganiom nie da się sprostać, a także, że nie ma w tym nic złego. Nauczył się radzić sobie ze strachem przed bankructwem, oddawać kontrolę i delegować zadania, a także odpoczywać i dawać sobie złać oddech, gdy pojawiają się czarniejsze dni.

– Głód sukcesu nadal mi pozostał, ale teraz jestem w stanie go kontrolować i patrzeć na niego bardziej realistycznie. Nadal zdarzają mi się też dni, gdy wstaję z łóżka i mam wrażenie, że do niczego się nie nadaję, ale wiem już, jak sobie z nimi radzić. Nie winię się też tak mocno za porażki, które w końcu spotykają każdego.

Witkowski rozwija teraz kolejną firmę: Medeocare, która specjalizuje się w sprzedaży artykułów medycznych przez internet. Pracuje nad własną marką produktów i chce wyjść na inne rynki, a w przyszłości na giełdę. Nadal liczy na sukces, ale podchodzi do tego zdecydowanie zdrowiej.

– Moje doświadczenie nie jest unikatowe, wiele osób zмага się z podobnymi problemami. Mi udało się znaleźć odpowiednią pomoc i wykonać na tyle dużo pracy nad sobą, aby przejść od depresji do dobrze prosperującego biznesu. Chciałbym, aby moje doświadczenie

pokazało tym, którzy zmagają się z podobnymi problemami, że życie może znów mieć sens.

DEPRESJA – RYZYKO ZAWODOWE PREZESÓW

Depresja startupowca, to stosunkowo nowe zjawisko, które narodziło się wraz z powstaniem ambitnej, a nawet agresywnej kultury start-upów, w której nie ma miejsca na słabość i porażkę. Badania tego zjawiska przeprowadzone przez profesora psychiatrii ze Szkoły Medycyny z San Francisco dr. Michaela Freemana wykazały, że 72 proc. przepytanych przez niego startupowców miało podejrzenie problemów ze zdrowiem psychicznym, a 49 procent z nich przyznało się do tego, że cierpi na jedną lub więcej chorób psychicznych. Badanie wykazało, że startupowcy są w 30 proc. bardziej narażeni na pojawienie się u nich depresji

– Zaczyna się od braku dystansu do pracy i niemożliwości wyłączenia się nawet na krótki czas – tłumaczy Róża Szafranek, prezeska firmy HR Hints, która oferuje usługi z zakresu pomocy psychologicznej start-upom i rozwijającym się firmom technologicznym. – Spowodowane jest to presją środowiska i przekonaniem o własnej sprawczości. Liderzy często wierzą, że muszą wszystko zrobić sami, a nawet jeśli delegują niektóre sprawy, to muszą osobiście dopilnować ich wykonania. Nie zostawiają sobie żadnego wentyla bezpieczeństwa. Do tego dochodzą długie godziny pracy, po 12-14 dniennie. W ten sposób nie da się pracować na dłuższą metę.

Założycielka HR Hints przyznaje, że w środowisko startupowców jest niezwykle obciążające dla zdrowia psychicznego. Jej zdaniem nie ma tam miejsca na porażkę ani na przyznanie się do słabości lub kłopotów. Startupowiec jest oceniany w branży jedynie przez sukces swojego przedsięwzięcia. Sukces jest przy tym zero-jedynkowy, nie ma miejsca na połowiczny lub częściowy sukces, a porażka biznesowa nigdy nie jest uważana za kolejny krok do osiągnięcia sukcesu, a jako osobista porażka startupowca. Tak duża presja połączona z ambicją i często z pracoholizmem to prosta droga do problemów związanych ze zdrowiem psychicznym.

– Pierwszym objawem problemów jest spadek zdolności poznawczych i kognitywnych. Liderzy, którzy do tej pory byli dumni z tego, że mają świetną pamięć, są sprawni i rzutcy w codziennych zadaniach, nagle zapominają słów, mają problemy z wykonaniem tak prostych zadań, jak przygotowanie prezentacji w PowerPoint, przestają kojarzyć fakty, sprawnie identyfikować problemy i wyciągać wnioski – tłumaczy Róża Szafranek.

Jej zdaniem większość osób przegapia ten moment. Zamiast odpuścić, oddać stery i zrobić sobie przerwę, robią to, co robili zawsze do tej pory. Zagryzają zęby i pracują więcej, wierząc, że mogą poradzić sobie z każdą przeciwnością.

Zdaniem szefowej HR Hints powodzenie większości start-upów zależy od kondycji ich założycieli i prezesów. Duża, a nawet średnia firma może poradzić sobie przez pewien czas bez prezesa, ale w przypadku start-upu jego lider jest zaangażowany i odpowiedzialny za tak wiele obszarów, że bez niego firma nie przeżyje. Dlatego osobista kondycja start-upowca przekłada się często na kondycję start-upu. Jeśli jest wypalony, przemęczony i ma problemy o podłożu psychicznym, to momentalnie przekłada się to na zespół.

– Złe zdrowie psychiczne prezesa wpływa na pogarszającą się atmosferę, kulturę i organizację pracy, przez co spada także wydajność. A wbrew temu, co sądzą o sobie liderzy, wcale nie są tak wyjątkowi. Ich również dotyczy zmęczenie i wypalenie zawodowe i zdarza się, że obserwują to w swojej pracy – mówi Szafranek. ●

Do 2024 mocno zbiedniejemy

– Wydatki Ukraińców maskują fakt, że wydatki naszych gospodarstw domowych nie tylko nie rosną, ale też prawdopodobnie spadają – mówi dr Jakub Rybacki, analityk Polskiego Instytutu Ekonomicznego.

Hubert Orzechowski

Według wstępnych szacunków Głównego Urzędu Statystycznego PKB Polski w drugim kwartale wzrósł o 5,3 proc. w ujęciu rok do roku.

Znacznie ważniejsze są jednak dane w ujęciu kwartał do kwartału. Okazuje się, że w stosunku do pierwszego kwartału w drugim nasze PKB zmalało aż o 2,3 proc. Do tej pory tylko dwa razy w historii było pod tym względem gorzej. Pierwszy to prehistoria, bo było to w ostatnim kwartale 1996 r. Drugi raz to pandemia i lockdown, które w drugim kwartale 2020 r. zaowocowały spektakularnym załamaniem gospodarki rzędu 8,2 proc.

O konsekwencjach nadchodzącego kryzysu i o tym, czy będzie on długi i bolesny, rozmawiamy z dr Jakubem Rybackim, analitykiem makroekonomicznym Polskiego Instytutu Ekonomicznego.

ROZMOWA Z
DR. JAKUBEM RYBACKIM
z Polskiego Instytutu
Ekonomicznego

HUBERT ORZECOWSKI: W jakiej sytuacji jest nasza gospodarka?
DR JAKUB RYBACKI: Jesteśmy w podobnej sytuacji jak większość krajów Unii Europejskiej. Roczne wyniki nie różnią się, jeśli chodzi o trendy, od takich krajów jak Włochy czy Francja.

Co więc stoi za spowolnieniem?
– W poprzednich kwartałach firmy mocno powiększały zapasy. Było

to pokłosiem problemów z łańcuchem dostaw (kupujemy, co jest, bo zaraz może tego nie być), jak i wysokiej inflacji (kupujemy towar czy surowce, bo zaraz mogą być znacznie droższe). Teraz to się skończyło.

Wyhamowują także wydatki konsumentów. Z jednej strony to pogorszenie koniunktury związane z inflacją. Ceny rosną, więc zaciśkamy pasa i szukujemy się na gorsze czasy. A z drugiej dają się nam we znaki podwyżki stóp procentowych. Coraz większą część dochodów części z nas pochłaniają wrażliwe raty kredytów. I te czynniki determinują to, jak układamy nasze wydatki.

W II kwartale w stosunku do pierwszego nasza gospodarka zmalała o 2,3 proc. Tylko dwa razy w historii było gorzej.

– Spodziewamy się, że nasza gospodarka w następnych kwartałach dalej będzie hamować. W drugiej połowie roku tempo wzrostu PKB w ujęciu rok do roku będzie oscylować wokół 3 proc. Techniczna recesja, a więc sytuacja, kiedy w dwóch kolejnych kwartałach zmniejsza się PKB w ujęciu kwartał do kwartału, jest bardzo prawdopodobna.

Spodziewamy się też kurczenia się popytu konsumentów.

Ale przecież dane o sprzedaży detalicznej mówią co innego. W czerwcu, licząc w cenach bieżących, była ona aż o 19,9 proc. wyższa rok do roku. Znacznie mniej niż w maju czy w rekordowym pod tym względem kwietniu, ale teoretycznie trudno tu mówić o zapaści.

– Wysokie wyniki sprzedaży detalicznej w cenach bieżących odzwierciedlają inflację. Tak, konsumpcja rośnie, jednak to efekt napływu uchodźców z Ukrainy uciekających przed rosyjską agresją. Ich wydatki trochę maskują fakt, że wydatki gospodarstw domowych nie tylko nie rosną, ale też prawdopodobnie spadają. Prawdziwy obraz dadzą dane z następnych dwóch kwartałów.

Konsumpcja to ciągle główne paliwo naszego PKB. Ale nie mniej ważne są choćby inwestycje.

– Nie spodziewałbym się tutaj zbyt dużego ruchu, bo po prostu czasy są bardzo niepewne. Nie sprzyjają nam trendy w gospodarce globalnej. Firmy wstrzymują się z inwestycjami, bo skąd mają wiedzieć, jakie np. będą ceny energii. Ponadto ciągle nie rozwiązano do końca problemów z łańcuchem dostaw. Dlatego nie oczekiwałbym wzrostu inwestycji bez działalności sektora publicznego. Jest na to szansa, ale już w przyszłym roku. Dużo będzie zależało od wydatków na Krajowy Plan Odbudowy, a właściwie czy Unia odblokuje te środki dla Polski. Pytanie więc, kiedy ten impuls realnie się zacznie.

Jak dane o hamującym wzroście i ciągle wysokiej inflacji mogą wpłynąć na politykę monetarną NBP? Czekają nas dalsze podwyż-

ki stóp procentowych czy wręcz przeciwnie?

– Uważam, że cykl podwyżek jest w zasadzie zakończony. To ostatnie miesiące tak wysokiej inflacji. Już w ostatnim kwartale tego roku spodziewałbym się spadków. Poza jednym wyjątkiem – momentem, kiedy wejdą nowe taryfy za energię i ciepło. Nie ma siły, żeby nie zakończyło się to wzrostem inflacji, ale to od czujemy najbardziej w pierwszym kwartale 2023 r.

Poza tym za końcem cyklu podwyżek stóp przemawia właśnie pogarszająca się koniunktura.

Dalsze podwyżki stóp mogłyby wyrządzić wiele szkody. Mówię tu zwłaszcza o sytuacji zwykłych konsumentów. Zbyt restrykcyjna polityka monetarna mogłaby spowodować falę prywatnych bankructw. To zadziałałoby kaskadowo, bo nie dość, że zmniejszyłyby się zyski sektora bankowego, to pogorszyłaby się płynność jego portfela kredytowego. No i czy dalsze podwyżki stóp dałyby jeszcze jakiś efekt? Przecież już teraz akcja kredytowa jest niemal zduszona. Liczba nowych kredytów hipotecznych zmalała rok do roku o kilkadziesiąt procent. Realnie nie ma więc czego schładzać.

Jaki jest najbardziej realny scenariusz dla Polski w przypadku spowolnienia? Grozi nam stagflacja?

– Scenariusz niskiego wzrostu i utrzymującej się podwyższonej inflacji jest jak najbardziej prawdopodobny. Ofiarami spowolnienia będą spółki handlowe oraz branże energochłonne, jak przemysł chemiczny czy związany z produkcją materiałów budowlanych. Ostatnio dobrze radziły sobie spółki górnicze czy energetyczne. To się skończy. Trudno bowiem będzie utrzymać takie wyniki, które są rezultatem wahań na rynku surowców.

Dostanie się także bankom. Wakacje kredytowe z nawiązką pokryją zyski, które banki czerpią z podwyżek stóp procentowych. To będą branże najbardziej narażone na zwolnienia.

W badaniach jednego z banków blisko trzy czwarte Polaków ocenia swoją pozycję finansową jako „mało komfortową”. Czy rzeczywiście nadchodzące kłopoty uderzą nas po kieszeni bardziej niż poprzednie kryzysy w tym stuleciu?

– Załamanie zapewne będzie stosunkowo krótkie. Głównym jego motorem jest sytuacja na rynku surowców, a ta powinna się ustabilizować do 2024 r. Oczywiście dokładnego rozwoju wydarzeń nie da się przewidzieć.

Jednak głównym kosztem tego kryzysu będzie spadek zamożności Polaków. Najbardziej uderzy on w najbiedniejszych, ale spadną nasze wydatki na rekreację, wczasy czy artykuły RTV i AGD. Ale należy pamiętać, że wchodzimy w ten kryzys w sytuacji, gdy znaczna większość przedsiębiorstw raportuje problemy z zatrudnieniem. Sytuacja na rynku pracy jest bardzo dobra, więc najgorsze, czyli masowe i trudne do zlikwidowania bezrobocie, nam nie grożą. To całkiem dobry bufor chroniący przed poważniejszym kryzysem. Ale wzrost wynagrodzeń będzie mniejszy, a podwyższona inflacja sprawi, że po prostu zbiedniejemy. ●



Czy dalsze podwyżki stóp dałyby jeszcze jakiś efekt? Przecież już teraz akcja kredytowa jest niemal zduszona

DR JAKUB RYBACKI

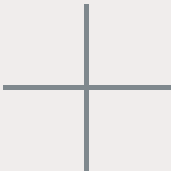
analityk Polskiego Instytutu Ekonomicznego

ZAMÓW NA WRZESIEŃ DO 24 SIERPNIA

KUP PRENUMERATE
TECZKOWĄ
I ODBIERZ PREZENT*

* książka do odbioru w punkcie sprzedaży od 16 września

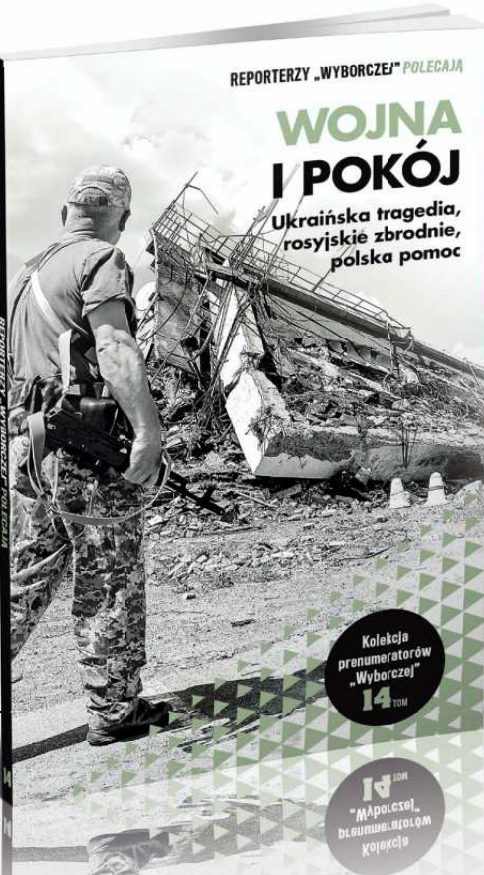
CODZIENNIE



„WOJNA I POKÓJ”

CZTERNASTY TOM SERII REPORTERZY
„WYBORCZEJ” POLECAJĄ

Prenumeratorów teczkowych zapraszamy do Klubu „Wyborczej”. Jego członkowie mogą m.in. uczestniczyć w spotkaniach online z redakcją i jej gośćmi. Dodatkowo Klubowicze mają dostęp do archiwum tekstów „Wyborczej”. Co zrobić, by zostać członkiem Klubu: 1. Skontaktuj się z naszą infolinią, tel. 22 555 54 55 (pn.-pt. 8-19, sob. 9-17). 2. Podaj numer dowodu zakupu prenumeraty teczkowej. Zapraszamy.



FOT. KASIA KALETA



Mam obsesję nadprodukcji

Wszyscy powoli uciekamy od polskich klientów. Zniechęcają nas niska kultura pracy i zarobki. Wartość mojej pracy to nie tylko czas spędzony przy komputerze, ale też concept – mówi ilustratorka Gosia Herba.



© Gosia Herba for The New York Times



© Gosia Herba for The New York Times

• **Gosia Herba – ilustratorka, autorka książek dla dzieci, historyczka sztuki. Od ponad 15 lat zajmuje się ilustracją prasową, książkową i komercyjną. Projektuje też większe formy związane z architekturą i wnętrzami. Rysowała m.in. dla: „The New Yorker”, „The New York Times”, „Der Tagesspiegel”, „The Washington Post”, Pentagramu, „The Atlantic”, Penguin Random House czy Google'a.**

Patrycja Maciejewicz

PATRYCJA MACIEJEWICZ: „New Yorker” i „The New York Times” dzwonią do pani ze zleceniami. Jak się staje ilustratorką tego kalibru?

GOSIA HERBA: Moje pierwsze zlecenie do gazety dostałam 15 lat temu (dla magazynu „Charaktery”). Na te najważniejsze projekty musiałam więc trochę poczekać.

Zlecenia z „The New York Times” są z gatunku tych, których się nie odrzuca. Dyrektor artystyczny Jim Datz pisał do mnie kilkakrotnie, ale pechowo za każdym razem nie miałam możliwości wcisnąć go w bieżący kalendarz zleceń. Wiem, że zabrzmi to może dziwnie – dzwonił z „NYT”, a ja im odmówiłam – sama się bałam, że już do mnie nie wróci.

Po prostu nie lubię rysować w pośpiechu, nie lubię wyrzucać z siebie ilustracji, z których nie byłabym zadowolona, a zwłaszcza nie chciałam, by moja pierwsza ilustracja do „NYT” była przeciętna.

Odmawiałam i prosiłam o cierpliwość.

To jest olbrzymie ryzyko, bo jednak ilustratorów na rynku jest zatrzęsienie, a mało który nie chciałby dostać takiego zlecenia.

Ale Jim wrócił. Tyle że wtedy byłam na wakacjach, a propozycja dotyczyła spot illustrations – małych motywów pojawiających się w dzienniku przez cały miesiąc. Musiałabym zacząć pracę od razu. Postanowiłam napisać mu szczerze, że naprawdę chcę bardzo to zrobić, ale musimy zaplanować to z większym wyprzedzeniem.

W moim kalendarzu jest dość gęsto, więc muszę pilnować dokładnie wszystkich zleceń, by się z nich wywiązywać, manewrować, układać. Rzadko kiedy mogę sobie pozwolić na realizację spontanicznych prac.

Taka była propozycja z „New Yorkera”?

Byłam kompletnie zawałona robotą. Ale wtedy uznałam, że raz kozie śmierć, takie zlecenie nie przychodzi codziennie, jakoś dam radę. A deadline był krótki – jeden dzień na zrobienie szkicu, potem kolejne dwa dni na finalną ilustrację. Był to rysunek do sekcji książkowej New Yorkera; do recenzji książki „Kobiety Troi” Pat Barker.

Każdy może zilustrować „New Yorkera”?

Teraz jest trochę łatwiej, mamy otwarty świat, przepływ informacji, jest Instagram, portale poświęcone ilustracji, projektowaniu jak Behance, gdzie możemy publikować swoje portfolio. Tam też zaglądają dyrektorzy artystyczni z całego świata i wyszukują ilustratorów.

Ale nie ukrywajmy, że łatwiej byłoby mi znaleźć zlecenie, gdybym mieszkała w Nowym Jorku, tak jak cała masa znanych ilustratorów, którzy mogą odwiedzić redakcję.

Mi udało się zdobyć takie zlecenia, bo mam bogate portfolio, jestem aktywna w mediach społecznościowych, pracuję dużo, co roku mam sporo publikacji i każda kolejna przyciąga następnych zainteresowanych. Wyrobiłam sobie markę – zawsze wywiązuję się z terminów, pracuję szybko, mam swój wyrazisty styl i potrafię błyskotliwie interpretować teksty.

„New Yorker” i „NYT” to jedni z najbardziej prestiżowych pracodawców w naszej branży. Dla mnie to kamień milowy. Jeszcze 8 lat temu wzdychałam, patrząc,

jak moi ulubieni rysownicy chwalą się kolejnymi publikacjami dla tych pism.

Polscy ilustratorzy są już w takim międzynarodowym obiegu?

Coraz więcej polskich ilustratorów rysuje dla międzynarodowych klientów. Paweł Mildner – podobnie jak ja, ilustrator z Wrocławia – rysował dla „The New York Times”. Joanna Grochocka dla „The Washington Post”. Bartosz Kosowski chyba już głównie pracuje dla zagranicznych zleciodawców, np. „The Hollywood Reporter” czy „The Economist”. Pawła Jońcę można zobaczyć w „Nature”, „New Scientist”. Kasia Bogdańska i Dawid Ryski też są aktywni za granicą. Muszę również wspomnieć o mieszkających za oceanem Zuzie Rogatty i Agacie Endo Nowickiej. Agata zawsze była dla mnie wzorem – wspinała kieruje swoją karierą.

Wszyscy powoli uciekamy od polskich klientów, a szkoda, bo jednak chcemy współtworzyć naszą kulturę. Jestem dumna z moich ilustracji do Lema, Grochowiaka czy Ficowskiego. Zniechęcają nas niska kultura pracy, słabe zarobki.

Na czym polega fenomen spot illustrations?

To małe czarno-białe ilustracje, które można codziennie znaleźć na trzeciej stronie papierowego wydania „New York Timesa”. Zresztą podobne ma też „The New Yorker”. Każdy miesiąc ma motyw przewodni, a wspólnym tematem wszystkich rysunków jest magazyn, jego czytanie i czytelnicy.

Był już cykl o robaczkach, o nowojorskich gołębiach, ktoś narysował najsłynniejsze budynki świata zbudowane z gazet. Moje ulubione winiety rysuje Miguel Porlan.

Dla ilustratora to wyzwanie, bo winiety są czarno-białe, małe, a muszą być wyraźne w druku, linia nie może być za cienka. Trzeba mieć umiejętność syntetyzowania.

Ja narysowałam cykl ze spersonifikowanymi postaciami psów, które czytają „NYT”. W redakcji szczególnie spodobały się moje pomysły z nawiązaniem do kultury: portret matki Whistlera, psi Kurt Vonnegut, „Czytająca list” Verneera, Jackson Pollock, Caspar David Friedrich, a nawet Lionel Richie.

Dostawałam bardzo sympatyczne wiadomości nie tylko od dyrektorów artystycznych z samego „NYT” (jest ich tam kilku, odpowiadają za różne działy), ale też od czytelników. Prawdziwe listy! Nowojorczyści wciąż schodzą do deli po kawę i gazetę, celebrując tę chwilę. To duża radość, że wdzieram się z rysunkami w czyjąś codzienność.

Prasa papierowa żyje?

Chciałabym, aby przetrwała. To wielka frajda zobaczyć swoją ilustrację wydrukowaną na papierze, w kontekście całej gazety. Nęcący jest cały ten proces: projektowania, drukowania, pojawiania się gazety w kiosku. Publikacje internetowe cieszą mnie trochę mniej. Pewnie jestem po prostu staroświecka.

O ile w sprawie gazet jestem skłonna przejść na digital, to w kwestii książek pozostaję za tradycyjną formą. Istotne są dla mnie detale, począwszy od formatu książki, tego, czy dobrze leży w dłoni, przez papier, fakturę okładki, wstążkę w środku, aż do kroju pisma i jakości druku, tego, czy kolory oryginalnej ilustracji zostały odpowiednio odwzorowane.

Projektując książkę, chcę stworzyć piękny przedmiot, który będzie cieszył czytelnika przez lata.

W Polsce większość wydawanych książek jest brzydka, ale na ratunek przychodzą takie wydawnictwa jak Karakter, Czarne, Wolno czy Tajfuny. Bardzo lubię okładki wydawnictwa Powergraph projektowane przez wspaniałą ilustratorkę Patrycję Podkościelną.

Raport Biblioteki Narodowej mówi, że w 2019 roku w Polsce ukazało się ponad 3200 książek dla dzieci (do 13. roku życia), czyli blisko 9 książek dziennie! W 2021 roku trochę się uspokoiło i wydano tylko 3005 pozycji, ale to wciąż ogromna nadprodukcja.

Ale polska książka dla dzieci stała się naszym flagowym produktem, unikalnym, bo elitarnym i utylitarnym jednocześnie. Mamy sporo wybitnych ilustratorów, nagradzanych, publikowanych na całym świecie. Książki m.in. Jana Bajtlika, Daniela i Aleksandry Mizielińskich, Uli Palusińskiej były wyróżniane w prestiżowym konkursie Bologna Ragazzi Award. Na całym świecie wydawane są książki Piotra Sochy, Marii Dek, Nikoli Kucharskiej, Joanny Concejo czy wspomnianych już Mizielińskich.

Ilustracje można też sprzedawać na inne nośniki. Polska marka odzieżowa Medicine regularnie współpracuje z grafikami. Doceniam, że jest nowa przestrzeń, która kształtuje gusty, nie każdy pójdzie do księgarni i będzie obcować z ilustracją. Nie tylko Medicine zaprasza artystów do współpracy. W Polsce takie kolekcje wypuszczają też Reserved czy Tatum.

Mi także zdarzyło się współpracować z jedną z polskich marek odzieżowych. Dziś chyba nie byłabym zainteresowana taką formą eksponowania moich rysunków.

Co było nie tak?

Taka współpraca wydaje się atrakcyjna. Ilustratorzy wierzą, że pojawienie się ich wzorów na koszulkach przyniesie im popularność. Pewnie w niektórych przypadkach tak się dzieje. Ale czasem trzeba zadać sobie pytanie, czy faktycznie warto.

Sama staram się nie kupować zbyt wielu ubrań. Wolę też zaoszczędzić i kupić jedną jakościową rzecz niż cztery ciuchy, które po kilku praniach będą zniszczone. Szkoda mi moich ilustracji na taką produkcję.

Taki światopogląd to przywilej, dla wielu nie ma alternatywy dla chińszczyzny z sieciówki.

Mam tę świadomość. Ale nie mogę przejść obojętnie nad faktem, że naprawdę mamy nadprodukcję ubrań, która żywi się tym, że sieciówki dyktują zmieniające się błyskawicznie trendy. Ostatecznie zostajemy z górą niesprzedanych ubrań. Góry szmat na pustyni Atakama, ten obraz mam przed oczami. Nie krytykuję nikogo za to, gdzie kupuje i co nosi. Mówię tylko, że ja nie chcę brać udziału w produkcji tych rzeczy.

Do tego dochodzi kwestia wynagrodzenia. Ilustratorzy często oddają pełne prawa do swoich prac, a stawki oferowane przez spółki fast fashion są bardzo niekorzystne, zwłaszcza w zderzeniu z niskimi kosztami produkcji i finalną ceną w sklepie. Ilustrator, mimo że tworzy najważniejszy element kolekcji – wzór, po który ludzie przyjdą do sklepu – jest na końcu łańcucha pokarmowego.

Całkiem niedawno dostałam propozycję od chińskiej spółki, która ma tysiące sklepów na całym świecie. Zaoferowano mi kilkaset złotych za wykonanie i sprzedaż pełnych praw do mojej ilustracji, którą wykorzystano by na tysiącach ubrań, dodatków, bez jakichkolwiek limitów. Mam ten luksus, że mogę odrzucić takie zlecenie – nie chcę za kilkaset złotych przykładać ręki do katastrofy ekologicznej.

Mam obsesję nadprodukcji. Przeraża mnie, gdy widzę w sklepach te tony plastiku, nikomu niepotrzebnych gadżetów, etui na telefony w tysiącach wzorów, zawieszek, torebek, koszulek, które nigdy nie zostaną sprzedane albo zaraz wylądują w śmieciach.

Nie mogę nie wykorzystać okazji i nie wspomnieć o naruszaniu praw autorskich przez wielkie marki. Projektanci pracujący dla nich krad-

ną oryginalne projekty artystów, przerabiają je nieznacznie, by uniknąć konsekwencji prawnych, i wypuszczają jako markową kolekcję.

Fast fashion zostawiam już za sobą. Szkoda mi energii, skoro mogę tworzyć piękne, wartościowe i trwale przedmioty.

Dla wielu grafików to dobra okazja, by wejść na rynek bądź wzmocnić swoją pozycję czy rozpoznawalność.

Wiem. Od 7-8 lat utrzymuję się tylko z ilustrowania, i to z ilustrowania tego, co sama wybiorę.

Wcześniej brałam dużo różnych fuch, aby przetrwać: pracowałam w ZETO [Zakład Elektronicznej Techniki Obliczeniowej, jedno z najstarszych przedsiębiorstw informatycznych w Polsce], naliczając ZUS, pisałam artykuły o branży drogowej, robiłam banery reklamowe, składałam gazetki uniwersyteckie. Też kiedyś zaczynałam. Podejmowałam się zleceń, których dziś bym nie przyjęła. Myślę, że ilustrator czasem staje przed dylematem: co jest ważniejsze – sława i pieniądze czy sumienie. Dla każdego granica leży gdzieś indziej. Wiem, że niektórzy nie wezmą udziału w promocji parówek, inni nigdy nie wesprą swoją pracą danej partii politycznej.

To dla mnie ważne, bo wartość mojej pracy to nie tylko czas spędzony przy komputerze czy nad kartką, ale też concept, który mam w głowie, moja praca twórcza. Za moimi ry-

do momentu, kiedy każda ze stron będzie zadowolona. Sama od lat współpracuję z adwokatami, dzięki czemu nauczyłam się ze zrozumieniem czytać umowy i bez obaw je negocjować.

W Polsce wielu klientów wciąż liczy na to, że ilustratorzy to nieogarnięci artyści.

Zdarza się też, że polscy wydawcy, gdy ilustrator chce negocjować umowę, po prostu rezygnują z niego. Otrzymujemy propozycję współpracy, ale stawiani jesteśmy w pozycji służebnej, pod ścianą. Pracujesz na naszych warunkach albo wcale.

To nie koniec tej smutnej litanii.

Okropną praktyką jest domaganie się wykonywania darmowych próbek od ilustratora lub organizowanie konkursu, gdzie kilku nieświadomych artystów walczy o zlecenie – tracąc czas i pieniądze. Wydawcy proszą o przygotowanie kilku ilustracji do książki, bez wynagrodzenia i bez gwarancji, że dostanie się zlecenie. Na świecie przyjęta jest zasada, że za próbne ilustracje się płaci. To praca jak każda inna.

To się powoli zmienia, ja już jednak rysuję głównie książki dla wydawców z Wielkiej Brytanii. Tam mam czasem nawet pół roku na 12 rozkładówek, wszystko jest ustalone i planowane z dużym wyprzedzeniem. Podpisujemy umowę już na pół roku wcześniej. Mogę spokojnie pracować, mam czas na pomyłki, na poprawki, na poszukiwania.



RYŚ. GOSIA HERBA - ILUSTRACJA DLA QUARTZ (3)

sunkami stoi wszystko, co kiedyś przeczytałam, przeżyłam, co widziałam, czym się zachwyciłam, co chcę powiedzieć światu. Do tego dochodzą warunki licencji, pola eksploatacji, to, w jaki sposób klient chce wykorzystać moją ilustrację.

Ilustrator nie zarabia wyłącznie na rysowaniu czy sprzedaży konkretnego rysunku; nasza praca to w dużej mierze zarządzanie prawami autorskimi.

W Polsce wciąż musimy powtarzać zdanie Zbigniewa Libery: „Jestem artystą, ale to nie znaczy, że pracuję za darmo”. Aż mi głupio, że muszę o tym mówić, ale w Polsce kultura pracy jest niska i freelancerzy po prostu uciekają na Zachód w poszukiwaniu godnych warunków pracy.

Co ma pani na myśli?

Podam przykład pracy nad książką. Dostałem tekst i mam wykonać 40 rozkładówek. W Polsce przyjęło się szalone tempo pracy; ilustrator ma np. 3 miesiące na wykonanie takiej liczby rysunków, czasem musi też zaprojektować layout. To jest ekstremalnie mało czasu. Na dodatek wynagrodzenie, które wydawca oferuje, po podzieleniu na liczbę godzin, jest często niższe od płacy minimalnej.

Poza tym jest wieczny problem z umowami. Umowę powinno się podpisać przed rozpoczęciem pracy. W Polsce klienci często mówią: „Będzie umowa, musimy ją tylko przygotować. Ale deadline na ilustrację jest za tydzień”. To jest wprowadzanie w błąd zleceniobiorcy, bo wiadomo, że wydawca co miesiąc lub co tydzień zamawia ilustracje i na pewno wzór takiej umowy już ma.

Kolejna rzecz to nienegocjowalność umów. Już z nazwy umowa jest układem, która ma satysfakcjonować każdą ze stron. Przyjętą na świecie praktyką jest dostarczenie ilustratorowi draftu umowy, który można negocjować aż

Powiedziała pani o tym, co stoi za ilustracją – co się czytało, co się widziało. U pani tym tłem jest choćby mitologia. Jakie są współczesne mity?

Ilustracja nie tylko interpretuje i omawia to, co jest w tekście. Ilustracja i tekst są równoległymi liniami narracyjnymi. Lubię dopowiadać to, co w tekście sama zobaczyłam, co poczułam podczas lektury. W pracach, które rysuję dla siebie, nie na zlecenie, nie mam żadnych ograniczeń. Wtedy sięgam do moich ulubionych tematów.

Zawsze uwodziły mnie mitologia dawnych kultur i folklor. Narysowałam sporo prac z meduzami, wampirami, wilkołakami, empuzami... Współczesna mitologia to „Star Warsy”, Marvel i inne wielkie franczyzy, a ja mam bardziej niszowe zainteresowania.

Oczywiście, konsumuję z wielkim upodobaniem popkulturę i często przemycam jej wycinki do moich ilustracji i książek. Ale lubię też zakopać się w zaskakujących historiach, najchętniej z antropologii kultury – opowieściach o średniowiecznych procesach świń, o egzorcyzmach, jakie księża przeprowadzali na zbożu, które nie chciało rosnąć, i o tym, że do niedawna angielski dżentelmen mógł legalnie bić żonę różgą nie grubszą niż jego kciuk.

Poza tym jestem historyczką sztuki, więc w głowie mam utrwaloną bazę gestów, min, które z lubością wykorzystuję.

Na przykład?

Zamiłowanie do figury infantki – ciągle ją przemycam, interpretuję, eksploruję kolejne wersje szerokich fryzur, które odpowiadają sukienkom. Do tego choćby drobne gesty, jak podpatrzone układy dłoni z malarstwa średniowiecznego.

Jest taka drewniana gotycka rzeźba „Chrystus i Święty Jan z Sigmaringen”, wdzięczna

i piękna. Ewangelista opiera głowę na ramieniu Jezusa, trzymając się za ręce, układ dłoni jest delikatny. Wykorzystałam ten gest w ilustracji „Wedding guests”, na której znudzona dziewczyna siedzi przy weselnym stole i opiera głowę na ramieniu partnera, który jest małpołudem. To są ukryte, hermetyczne nawiązania, ale czasem się zdarza, że ktoś pozna.

W książkach, które tworzę z Mikołajem Paśńskim, przemycamy dużo nawiązań do naszych ulubionych tekstów, obrazów, muzyki, filmów, gier komputerowych. Myślimy o rodzajach, którzy muszą dziesiątki razy czytać tę samą książkę – być może te poukrywane nawiązania przyniosą im trochę rozrywki.

Czemu kobiety na pani ilustracjach tyle palą?

Mam serię ilustracji z palaczkami, fakt. To trochę ryzykowne przedsięwzięcie, wiem o tym (sama już zresztą nie palę i nie znośzę woni papierosów), ludzie nie za bardzo chcą takie prace kupować.

Zaczęłam na serio palić, jak byłam w liceum, ale pierwszy papieros był w wieku 4 lat. Paliłam w szczytowej formie 2,5 paczki dziennie. Być może jest to wyraz tęsknoty za młodością, sentyment za papieroskiem, wspomnienie wdzięcznie snującego się dymu. Papieros na śniadanie, zamiast obiadu, żółte pazury, smród tytoniu, poranny kaszel. Czy to przystoi panience?

Trochę poważniej – papierosy na moich rysunkach są dla mnie symbolem samostanowienia. Kiedy słyszę, że „kobiety nie powinny palić”, a najczęściej pada to z ust mężczyźni, to od razu włącza mi się sprzeciw. Więc właśnie po to mam takie ilustracje, by zamani-festować bunt. Dajcie nam spokój.

Ten femiart to forma czy tożsamość?

Bardzo lubię formę sylwetki kobiecej, choć moje kobiety są często pozbawione tradycyjnych atrybutów, mają małe piersi, albo wcale, przeskalowane dłonie, umięśnione ramiona. Jest taka zabawna anegdota, że kobiety ilustratorki mają problem z rysowaniem mężczyźni. Dla mnie to wyzwanie, myślę, że znaczne postępy zrobiłam przy ilustrowaniu książki „Ancient World”, która ukazała się trzy lata temu. Musiałam narysować ponad 100 ilustracji związanych ze światem starożytnym, dominują oczywiście mężczyźni.

Drażni mnie szufladkowanie, spychanie nas do nisz tak zwanej sztuki kobiecej. To podobny koszmarek jak „literatura kobieca”. Książki genialnej noblistki Alice Munro wydawane są w tak przeciętny, dojmująco zły sposób, że chyba automatycznie trafiają na półkę z harlequinami.

Kobiece tematy niosą się w pani sztuce. A inne wątki?

Angażuję się w różne prospołeczne akcje. W Polsce sprawnie działa kilka inicjatyw, m.in. Pogotowie Graficzne i Demokracja Ilustrowana. Aktywuję się przy okazji ważnych wydarzeń, jak np. wybory, zaostrenie prawa aborcyjnego, atak Rosji na Ukrainę. Skrzykujemy się wtedy, robimy plakaty, które można wykorzystywać pro bono. Podczas „czarnych protestów” na ulicach całej Polski ludzie dzierżyli nasze grafiki.

Drażnimy społeczeństwo, skłaniamy je do refleksji, np. żeby może nie zostawać w domu w dzień wyborów, bo „jakoś tak”. Zresztą mój plakat „Idę na wybory” udał się na tyle, że rozkręciła się akcja – dziewczyny utożsamiały się z moją bohaterką, zakładały berret, wkładały spodnie-dzwony, czasem nawet czerwone, jak na ilustracji, i szły głosować. Uważam, że to piękne i pozytywne.

Chodziło mi o obudzenie świadomości, że ciąży na nas odpowiedzialność za to, w jakim kraju będziemy żyć.

Ja sama, kiedy dostałam dowód, poszłam na moje pierwsze wybory i pewnie zagłosowałam na opcję wskazaną przez mojego ojca. Później przez wiele lat nie głosowałam. Uważałam, że mnie to nie dotyczy, liczyłam chyba na to, że dorosłe życie mnie jakoś ominie. Dopiero kiedy zaczęłam pracować, płacić podatki, dostrzegać rzeczywistość poza moją głową, kiedy poczułam się zagrożona jako kobieta we własnym kraju, uświadomiłam sobie moją powinność. To chyba oklepny scenariusz. ●

Ekologia

Wciąż za dużo plastiku

Większość planów redukcji ilości odpadów z plastiku kończy się niepowodzeniem.

Kira Schacht

Francuski gigant spożywczy Danone złożył ambitną obietnicę: w ciągu roku 50 proc. tworzyw sztucznych w firmowych butelkach na wodę będzie wykonanych z materiałów pochodzących z recyklingu. To krok we właściwym kierunku w walce z globalnym zanieczyszczeniem tworzywami sztucznymi. Plastik jest nie tylko jednym z głównych produktów wytwarzanych z paliw kopalnych, takich jak ropa naftowa i gaz ziemny, ale też jednym z najtrwalszych. Na przykład na rozłożenie butelki z plastiku potrzeba nawet 450 lat. Przy tym powstaje mikropłastik, który szkodzi zarówno zwierzętom, jak i ludziom, zanieczyszczając oceany, głębę i powietrze. A do największych wytwórców plastiku na świecie należą przemysł spożywczy i produkcenci napojów.

Według Organizacji Współpracy Gospodarczej i Rozwoju (OECD) około 79 milionów ton odpadów z plastiku trafiło w 2019 roku wprost do środowiska: do gleby i do oceanów, poprzez spalanie w otwartych wyrobiskach lub na nielegalnych wysypiskach. Odpowiada to ponad jednej piątej całkowitej ilości odpadów z tworzyw sztucznych na świecie.

JAK SIĘ CHRONI 100 WYSP

Wraz z mediami partnerskimi z European Data Journalism Network redakcja Deutsche Welle przyjrzała się największym europejskim producentom żywności i napojów, by sprawdzić, czy wywiązują się oni ze zobowiązań, że będą prowadzić bardziej zrównoważoną działalność w zakresie gospodarowania opakowaniami.

W wypadku Danone tak nie było. Do 2009 roku koncern zmienił swój cel w kwestii wykorzystania recyklowanych tworzyw sztucznych: „Grupa dąży do osiągnięcia 20–30 procent w 2011 roku”, zapisano w raporcie z 2009 roku. „A docelowo 50 procent”. Gdy i tego celu firma nie zrealizowała, ponownie obniżyła poprzeczkę. I znowu. Do 2020 roku Danone nadal wykorzystywał w swoich butelkach na wodę na całym świecie tylko nieco poniżej 20 procent PET z recyklingu. Na rok 2025, 16 lat po przyjęciu pierwszego samodzielnie ustanowionego terminu, Danone na nowo wyznaczył stary cel: 50 procent recyklowanego plastiku w butelkach na wodę.

Do 2015 roku Danone ogłosił cel na 2020 rok do globalnej produkcji butelek na wodę, później najwyraźniej ograniczył cel do „krajów, w których stosowanie [recyklowanego plastiku] jest dozwolone”.

Danone nie odpowiedział na pytania dziennikarzy dotyczące tych rozbieżności. Ale nie jest jedyny - autorzy projektu zidentyfikowali 98 zobowiązań dotyczących redukcji plastiku w ciągu ostatnich 20 lat, które podjęły 24 firmy z branży spożywczej i producentów napojów, które mają siedziby w Europie. Ponad połowa zobowiązań została podjęta dopiero w ostatnich latach, większość dotyczy celów na rok 2025.

W wypadku 37 zobowiązań, które powinny być już zrealizowane, bilans nie wygląda dobrze: 68 procent albo poniosło jednoznaczną porażkę, albo nigdy więcej nie zostały wspomniane. Firmy po cichu porzucają swoje cele, zmieniają ich zakres albo też przesuwają docelowy rok.

W 2021 roku Unia Europejska zbadała deklaracje odnoszące się do zrównoważonego rozwoju na stronach internetowych firm z takich branż jak odzież, kosmetyki czy AGD – i stwierdziła, że 42 procent tych oświadczeń mogło być przesadzonych, nieprawdziwych lub wprowadzających w błąd.

Również w wypadku celów rzekomo już osiągniętych w niektórych wypadkach mamy raczej do czynienia z chwytami marketingowymi niż realną poprawą.

Tak się dzieje na przykład w wypadku belgijskiego browaru Anheuser-Busch InBev (w skrócie AB InBev), przedsiębiorstwa stojącego za takimi markami piwa jak amerykański Budweiser, Corona czy Beck's. W 2017 roku koncern ogłosił, że do 2020 roku „ochroni sto wysp przed zanieczyszczeniem morza plastikiem”.

Spółka nie wdrażała jednak żadnych długoterminowych projektów ochronnych. Zamiast tego zorganizowała 214 jednorazowych akcji sprzątania plaż w 13 krajach. Rok wcześniej, niż planowała, ogłosiła sukces.

– Wiele firm wykorzystuje akcje sprzątania plaż do celów reklamowych. A przecież te wszystkie śmieci na plażach są przynoszone przede wszystkim przez nich – ocenia Larissa Copello, która organizuje kampanie dla ekologicznej organizacji Zero Waste Europe.

DOBROWOLNE ZOBOWIĄZANIA TO ZA MAŁO

Zapotrzebowanie na tworzywa sztuczne z recyklingu pozostaje niskie, a ich ceny są wysokie. Firmom bardziej się opłaca stosowanie świeżo wyprodukowanego plastiku.

– Zamiast wykorzystywać swoją władzę, pieniądze i zasoby do poszukiwania rozwiązań, firmy robią bardzo często coś odwrotnego – mówi Nusa Urbancic z brusselskiego think tanku Changing Markets Foundation. – Dobrowolne zobowiązania są często świadomą taktyką mającą na celu opóźnianie wprowadzania postępowego ustawodawstwa środowiskowego i odwracanie od niego uwagi – mówi.

Mimo nacisków producentów tworzyw sztucznych Unia Europejska przyjęła niedawno ambitne przepisy. Na mocy dyrektywy o plastikach jednorazowego użycia z 2019 r. przedmioty jednorazowego użytku z tworzyw sztucznych, takie jak plastikowe torby, sztucce i słomki, nie mogą być już wprowadzane na unijne rynki. Unia idzie za przykładem krajów afrykańskich, w 2018 r. już połowa państw afrykańskich częściowo lub całkowicie zakazała używania plastikowych toreb.

Kolejne firmy składają deklaracje, które zbierane są w publicznych bazach danych. Na przykład Unilever wyznaczył so-

Jak firmom idzie spełnianie obietnic?

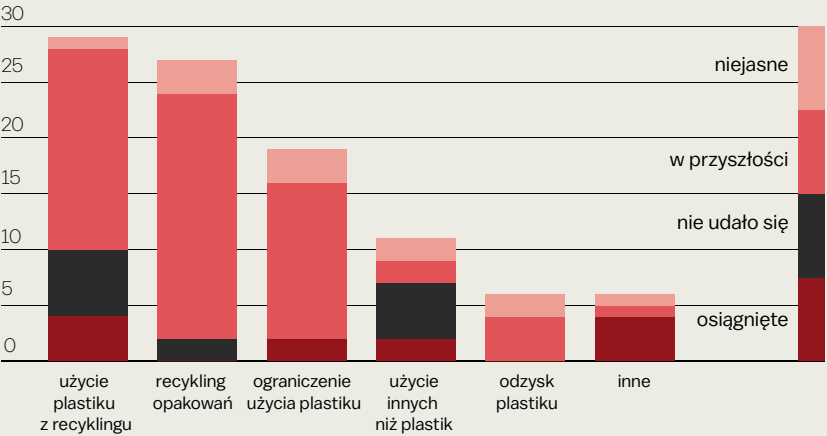
Na podstawie analizy 98 dobrowolnych zobowiązań złożonych przez europejskie firmy z branży spożywczej (w proc.)

osiągnięte nie udało się przyszłe niejasne

Założenia redukcji

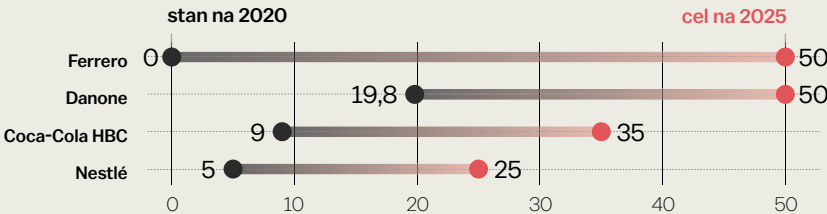


Jakie zobowiązania udało się spełnić?



Plany zwiększenia użycia plastiku z odzysku w butelkach

Stan realizacji celów od 2020 r. (w proc.)



Obietnice ograniczenia stosowania nowego plastiku

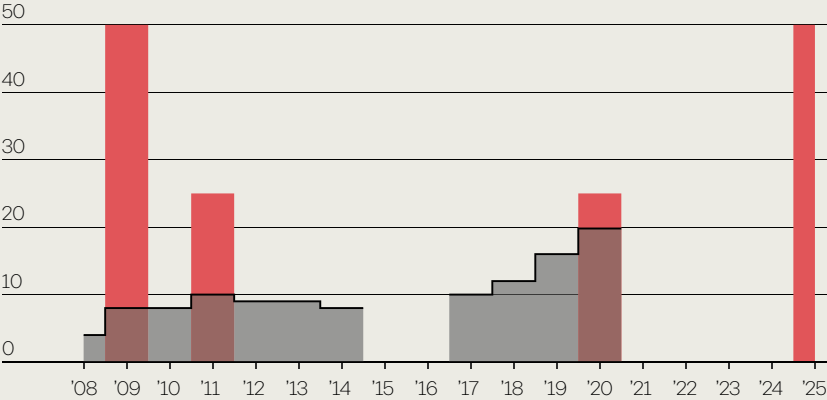
Obecny i planowany poziom zużycia w tonach

Firma	cel (proc.)	początek	do 2025
Unilever	50	711 000 t	355 500 t
Nestlé	33	1 653 000	1 110 860
Danone	33	715 000	479 050
Kerry Group	25	0	0
Lindt & Sprüngli	20	9 231	7 384
Ferrero	10	106 000	95 400
FrieslandCampina	7	68 203	63 429
Pernod Ricard	5	3 780	3 591

Obietnice kontra rzeczywistość - na przykładzie Danone

W proc.

deklarowane cele rzeczywisty udział PET z recyklingu w butelkach na wodę



© GAZETA WYBORCZA

ŹRÓDŁA: EDJNET, WWW.GITHUB.COM/DW-DATA/PLASTICS-PROMISES,

EMF GLOBAL COMMITMENT REPORT 2021

bie na lata 2020-25 cel zmniejszenia ilości nowego plastiku o 50 procent, Ferrero jedynie o dziesięć procent. Francuski producent win i alkoholi wysokoprocentowych Pernod Ricard zdecydował się zaś jedynie na pięcioprocentową redukcję.

– Firmy nie są nawet zobowiązane do ujawniania podstawowych informacji, takich jak ich ślad plastikowy. A publikowane dane nie są niezależnie weryfikowane – twierdzi Urbancic. Podobnie jak w wypadku innych dobrowolnych programów, istnieje ryzyko, że będą wykorzystywane ja-

ko przykrywką dla greenwashingu i opóźni rzeczywiste zmiany. ●
● Czytaj więcej na [BIQdata.pl](#)

Materiał powstał w ramach współpracy członków European Data Journalism Network. Projekt prowadziła redakcja Deutsche Welle we współpracy z Alternatives Economiques, EURACTIV, Interruptor, OBC Transeuropa, Openpolis i Pod crto. Badania wsparła Julia Merk. Grafika w wersji polskiej – Katarzyna Korzeniowska.

PO chce wrócić do refundowania in vitro

In vitro popiera 82 proc. Polaków. Platforma Obywatelska i organizacje wspierające pary borykające się z niepłodnością przygotowują obywatelski projekt ustawy, który ma przywrócić finansowanie procedury z budżetu państwa.

Anita Karwowska

Przewodniczący Platformy Obywatelskiej Donald Tusk powiedział w piątek, że zaangażuje się w zbieranie podpisów pod obywatelskim projektem ustawy przywracającym finansowanie in vitro z budżetu państwa.

– Mówimy o jednym skutecznym sposobie leczenia niepłodności po latach rządów PiS, kiedy kryzys demograficzny stał się czymś bardzo namacalnym. (...) Rządy PiS w tej przestrzeni są dobijające przede wszystkim dla ludzi, których nie stać na in vitro – mówił w piątek w TVN 24. – Widzimy teraz billboardy „Gdzie są te dzieci?”. A te dzieci są w Gdańsku, we Wrocławiu, w Warszawie. Wszędzie tam, gdzie zdecydowano się na samorządowe finansowanie procedury in vitro. W Polsce rodzą się dzięki temu tysiące dzieci. Wbrew decyzjom PiS, wbrew Czarnkom, Kaczyńskim etc. – podkreślił Tusk.

22 tys. dzieci z programu 2013-16

Jak mówił, nad inicjatywą ustawodawczą pracują: fundacja Małgorzaty Rozenek (ma dzięki in vitro troje dzieci), wspierająca pary borykające się z niepłodnością (w Polsce to problem ok. 1,5 mln par), stowarzyszenie Nasz Bocian oraz Ewa Kopacz, była premier i minister zdrowia w rządzie PO, dziś wiceprzewodnicząca Parlamentu Europejskiego.

– Chcemy przywrócić to, co sprawdziło się w latach 2013-16. Z refundacji skorzystały wtedy w dużej mierze pary, które wyczerpały inne możliwości leczenia oraz związane z tym finanse. Dziś mamy 22 tys. dzieci urodzonych dzięki tamtemu programowi i chcemy, by było ich więcej. Gdyby program funkcjonował, tysiące par uzyskałoby pomoc – mówi „Wyborczej” Barbara Szczerba ze stowarzyszenia Nasz Bocian.

2 czerwca, w Światowy Dzień In Vitro, z inicjatywy Kopacz odbył się w Parlamencie Europejskim panel ekspercki „Wsparcie



• Nad inicjatywą ustawodawczą pracuje fundacja Małgorzaty Rozenek. Na zdjęciu na spotkaniu w Kielcach we wrześniu 2019 roku FOT. PAWEŁ MAŁECKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

W 2016 r. rząd przestał refundować tę metodę leczenia niepłodności, chociaż dzięki uruchomionemu przez rząd PO-PSL programowi, na który w trzy lata przeznaczono 240 mln zł, urodziło się 22 tys. dzieci

dla płodności to wsparcie dla Polski”. – Przed nami praca u podstaw i dążenie do wyrównania dostępu do leczenia w Polsce. Z Brukseli wracam z przekonaniem, że tylko wspólnymi siłami możemy przywrócić dostęp do procedur medycznych, które należą się każdemu i każdej z nas – napisała po tym spotkaniu Małgorzata Rozenek.

Polacy popierają

Dyskusja wokół in vitro ponownie nabrała temperatury za sprawą podręcznika prof. Wojciecha Roszkowskiego do nowo wprowadzanego w szkołach średnich przedmiotu historia i terażniejszość.

Znalazł się w nim fragment: „Lansowany obecnie »inkluzywny« model rodziny za-

kłada tworzenie dowolnych grup ludzi, czasem o tej samej płci, którzy będą przywozić dzieci na świat w oderwaniu od naturalnego związku mężczyzny i kobiety, najchętniej w laboratorium. Coraz bardziej wyrafinowane metody odrywania seksu od miłości i płodności prowadzą do traktowania sfery seksu jako rozrywki, a sfery płodności jako produkcji ludzi, można powiedzieć hodowli. Skłania to do postawienia zasadniczego pytania: kto będzie kochał wyprodukowane w ten sposób dzieci?”.

Na tekst Roszkowskiego zareagowali rodzice dzieci poczętych metodą in vitro, którzy zamierzają złożyć pozew przeciwko Przemysławowi Czarnkowi ministrowi edukacji i nauki, lansującemu podręcznik do HiT. Teorie opublikowane w książce generalnie rozjeżdżają się z podejściem Polaków do in vitro.

W ostatniej „Polityce” przeczytać można artykuł o sondażu Kantar Public na temat podejścia Polaków do seksu. W ankiecie padło też pytanie o to, czy zgadzamy się z nauką Kościoła dotyczącą in vitro, zgodnie z którą ta metoda zapłodnienia powinna być zakazana. Według badania 82 proc. Polaków ma przeciwnie zdanie. Zaprzestania terapii oczekuje 9 proc. ankietowanych.

Wszystko, byle nie in vitro

A jednak w dobie rządów PiS obowiązuje zasada „wszystko, byle nie in vitro”. W 2016 r.

rząd przestał refundować tę metodę leczenia niepłodności, chociaż dzięki uruchomionemu przez rząd PO-PSL programowi, na który w trzy lata przeznaczono 240 mln zł, urodziło się 22 tys. dzieci. Decyzją ówczesnego ministra zdrowia Konstantego Radziwiłła in vitro zastąpił program naprotechnologii. Według resortu zdrowia do 2020 r. z programu miało skorzystać ok. 8 tys. par, z których ok. 2,4 tys. miało doznać ciąży. – To dane z sufitu. Program nie oferuje niczego parom, dla których jedynym wyjściem jest pozaustrojowe zapłodnienie. Byle co, byle nie in vitro – mówił wtedy „Wyborczej” prof. Waldemar Kuczyński, jeden z najbardziej doświadczonych w Polsce lekarzy zajmujących się leczeniem niepłodności.

Słowa specjalisty potwierdziły się w kolejnych latach. Do września 2020 r. chęć udziału zgłosiło niespełna 7 tys. par, a na dalsze leczenie zostało skierowanych 1,5 tys. z nich. Do 2018 r. na świat przyszło zaledwie 70 dzieci. Co było dalej, nie wiadomo. W 2019 r. resort przestał podawać dane na ten temat, a od 2021 r. w ogóle zrezygnował z programu Radziwiłła. Raport Najwyższej Izby Kontroli wykazał, że chociaż przeznaczono na ten projekt 45 mln zł, okazał się on fiaskiem. Podczas zebrania senackiej komisji wiceminister zdrowia Waldemar Kraska przyznał, że pomysł rządu PiS nie cieszył się wystarczającą popularnością.

Pomagają samorządy

Szukające skutecznej pomocy pary płacą więc za in vitro z własnej kieszeni albo korzystają z programów samorządowych. Dostęp do nich jest nierówny. We wschodnich województwach włodarze nie są zainteresowani dopłacaniem do programów. – Samorządowym finansowaniem objęte jest 35 proc. kraju – zaznacza Barbara Szczerba.

Pierwsza na refundowanie in vitro zdecydowała się w 2013 r. Częstochowa. Zasady dofinansowania we wszystkich miastach są podobne – pary mogą podchodzić do trzech prób zapłodnienia, otrzymując ok. 80 proc. refundacji kosztów (jedna próba to dziś ok. 10 tys. zł). Dzięki temu np. w Warszawie urodziło się od 2017 r. ponad tysiąc dzieci, w Gdańsku ok. 500, w Łodzi ok. 400. Tam, gdzie władze nie zgadzają się na dopłaty, mieszkańcy starają się o finansowanie z budżetów obywatelskich. ●

Po pierwszym sypią się pozwy

Drugi tom podręcznika do HiT-u już w przygotowaniu

Ojciec córki urodzonej metodą in vitro znalazł już prawników, będą reprezentować go w sądzie. Szykują pozew przeciwko prof. Roszkowskiemu, ministrowi Czarnkowi i całemu MEiN. Tymczasem wydawnictwo szykuje drugi tom.

Kamil Mieszczankowski, znany w sieci jako Bezczelny Lewak, prywatnie ojciec dziewczynki, która przyszła na świat za pomocą metody in vitro, znalazł już adwokatów, którzy będą reprezentować jego córkę w sądzie. I pozywa prof. Wojciecha Roszkowskiego, ministra edukacji i nauki Przemysława Czarnka i samo ministerstwo za sformułowania w podręczniku do historii i terażniejszości dotyczące dzieci „z hodowli”.

Mieszczankowski w zaledwie sześć godzin zgromadził w internetowej zbiórce potrzebne 30 tys. na opłacenie prawników. Córkę Mieszczankowskiego będą repre-

zentować prawnicy z kancelarii SKP Ślusarek Kubiak Pieczyk.

Według mec. Macieja Ślusarka to oczywiste, że „sformułowania z książki naruszają godność osób, które narodziły się dzięki metodzie in vitro”. – Gdy państwo tworzy z tego obowiązujący kanon nauczania młodych ludzi, reakcja jest konieczna. Przygotowujemy pozwy przeciwko autorowi, wydawnictwu i MEiN – podkreśla.

To nie koniec pozwów dotyczących podręcznika autorstwa prof. Roszkowskiego. Do „ukarania ministra za zatwierdzenie nienawistnego podręcznika” dąży też Ośrodek Monitorowania Zachowań Rasistowskich i Ksenofobicznych.

Oprócz tego, jak pisze Konrad Dulkowski, prezes zarządu OMZRIK, minister Czarnek ma być sądzony z ich powództwa w procesie karnym za dyskrymi-

nowanie osób nieheteronormatywnych przez ich zniesławienie na antenie propagandowego programu w TVP.

„Jak się możecie domyślać, żaden z prokuratorów nie zgłosił się, by działać w tej sprawie. W związku z tym na sali sądowej ministra edukacji Przemysława Czarnka oskarżać będzie zamiast prokuratora Rafał Gawel oraz Konrad Dulkowski, czyli Fundator i Prezes Ośrodka Monitorowania Zachowań Rasistowskich i Ksenofobicznych” – pisze Dulkowski. I dodaje: „Czarnkowi grozi w tym procesie karnym kara do roku bezwzględnego pozbawienia wolności”.

Jak się jednak okazuje, niewygodny fragment ma wkrótce zniknąć z podręcznika prof. Roszkowskiego, tak nieoficjalnie ustalił Onet. Ich informator podaje, że wydawnictwo Biały Kruk również nie zgadza się z interpre-

tacją tego fragmentu, ale chce „chronić dzieci poczęte z in vitro przed używaniem ich w grze politycznej”.

Tymczasem drugi tom podręcznika do HiT-u obejmujący lata 1980-2015 autorstwa prof. Roszkowskiego jest w przygo-

towaniu, jak potwierdza ministerstwo. – Z tego, co wiem, prof. Roszkowski napisał od razu całość i podzielił na dwie części. Teraz wydawnictwo przygotowuje część II – mówi wiceminister edukacji Tomasz Rzymkowski. ●

Karolina Słowik





„Wyciąg z ogłoszenia”

DZIAŁKI INWESTYCYJNE W STREFIE UZDROWISKOWEJ

BURMISTRZ LIDZBARKA WARMIŃSKIEGO
OGŁASZA PIERWSZY USTNY PRZETARG
NIEOGRANICZONY

na oddanie w użytkowanie wieczyste nieruchomości
niezabudowanych położonych na terenie
gminy Lidzbark Warmiński obręb Łabno

- I. Przedmiotem przetargu są działki położone w strefie „A” obszarów ochrony
uzdrowiskowej w obrębie Łabno, gmina Lidzbark Warmiński, zapisane w KW
Nr OL1L/00011075/6, oznaczone numerami:
1. Działka nr 47/23 o powierzchni 5464m²
Cena nieruchomości – 330.570,00zł. Wadium w wysokości 35.000,00zł
 2. Działka nr 47/24 o powierzchni 5468m²
Cena nieruchomości – 330.810,00zł. Wadium w wysokości 35.000,00zł
 3. Działka nr 47/26 o powierzchni 3430m²
Cena nieruchomości – 207.520,00zł. Wadium w wysokości 25.000,00zł
 4. Działka nr 47/27 o powierzchni 4801m²
Cena nieruchomości – 290.460,00zł. Wadium w wysokości 30.000,00zł

Wadium na każdą z działek należy wpłacić do dnia 19 września 2022 roku na konto Urzędu
Miejskiego w Lidzbarku Warmińskim – Bank Millennium S.A. Oddział Lidzbark Warmiński
Nr 1311602202000000061931481.

Za dzień wniesienia wadium uważa się dzień wpływu na w/w rachunek.

Działki w Miejscowym planie zagospodarowania przestrzennego obszarów ochrony uzdrowiskowej
w strefie „A” oznaczone są symbolem: 3UT. Przeznaczenie terenów: 1) Przeznaczenie podstawowe
– zabudowa usług sanatoryjnych i turystyki, 2) Przeznaczenie uzupełniające – pensjonaty, usługi
handlu i gastronomii, pod warunkiem, że będą częścią budynku usług podstawowych.

PRZETARG ODBĘDZIE SIĘ W DNIU 23 WRZEŚNIA 2022 ROKU O GODZ. 9⁰⁰
W SALI KONFERENCYJNEJ URZĘDU MIEJSKIEGO
W LIDZBARKU WARMIŃSKIM PRZY UL. A. ŚWIĘTOCHOWSKIEGO 14

Bliższe informacje o nieruchomościach można uzyskać w Referacie Geodezji i Gospodarki
Nieruchomościami Urzędu Miejskiego, pokój nr 101 tel. 89 767 8513 lub pokój nr 103
tel. 89 7678515, w godz. 8⁰⁰ – 15⁰⁰.

Pełna treść ogłoszenia zamieszczona jest na tablicy ogłoszeń w Urzędzie Miejskim (I piętro)
oraz na stronie internetowej Biuletynu Informacji Publicznej Urzędu Miasta
<https://bip.lidzbarkw.pl/> i stronie urzędu <http://sip-info.gison.pl/lidzbarkwarminskimiasto/>

34198806.n



WOJEWODA ŚWIĘTOKRZYSKI

Znak: IR.II.7840.1.36.2022

Kielce, dnia 17-08-2022

OBWIESZCZENIE

Na podstawie art. 12 ust. 1 i ust. 2, w związku z art. 15 ust. 1 i ust. 4, art. 38 pkt 2 lit. zh
i art. 39 ust. 1 ustawy z dnia 24 kwietnia 2009 r. o inwestycjach w zakresie terminalu
regazyfikacyjnego skroplonego gazu ziemnego w Świnoujściu (j.t. Dz. U. z 2021, poz. 1836)
oraz art. 49 ustawy z dnia 14 czerwca 1960 r. Kodeks postępowania administracyjnego (j.t.
Dz. U. z 2021 r., poz. 735 ze zm.),

zawiadamiam

że w dniu 17.08.2022r. na wniosek Operatora Gazociągów Przesyłowych GAZ-SYSTEM S.A.
w Warszawie, ul. Mszczonowska 4, 02-337 Warszawa, działającej przez pełnomocnika,
Wojewoda Świętokrzyski wydał decyzję Nr 37/2022, zatwierdzającą projekt budowlany
i udzielającą pozwolenia na budowę stacji gazowej pomiarowej o przepustowości Q=1600
Nm3/h MOP 8,4 MPa wraz z infrastrukturą towarzyszącą i zagospodarowaniem terenu,
budowę gazociągu przyłączeniowego wysokiego ciśnienia DN100 MOP 8,4 MPa wraz z jego
włączeniem do istniejącego gazociągu przesyłowego DN300 relacji Swarzędz-Grzybów
w ramach zadania pn. „Przyłączenie na obszarze Solec-Zdrój”, inwestycja na działce
o nr ewid. 679/3 obręb 0007 Solec-Zdrój, jednostka ewid. 260105_2 Solec-Zdrój.

Zakres robót zgodny z projektem budowlanym.

Z treścią decyzji Wojewody Świętokrzyskiego można się zapoznać w siedzibie
Świętokrzyskiego Urzędu Wojewódzkiego w Kielcach, Al. IX Wieków Kielc 3, w Wydziale
Infrastruktury i Rozwoju, w pokoju 724 (bud. A, p. VII), w godzinach od 7.30 do 15.30.

W związku z powyższym informuję, zgodnie z art. 49 Kodeksu postępowania
administracyjnego, że zawiadomienie niniejsze uważa się za dokonane po upływie
czternastu dni od dnia publicznego ogłoszenia, tj. od daty ukazania się obwieszczenia
na tablicy ogłoszeń Świętokrzyskiego Urzędu Wojewódzkiego, na tablicy ogłoszeń
Urzędu Gminy Solec-Zdrój, stronach internetowych wymienionych Urzędów oraz
w prasie o zasięgu ogólnopolskim, ze skutkiem doręczenia na dzień obwieszczenia
w Świętokrzyskim Urzędzie Wojewódzkim.

34198566.n

Zawiadomienie w sprawie ograniczenia sposobu
korzystania z nieruchomości położonej w Zamościu,
przy ul. Hrubieszowskiej

Prezydent Miasta Zamość

zawiadamia, że na wniosek PGE Dystrybucja S.A., z siedzibą w Lublinie
przy ul. Garbarskiej 21A, zamierza ograniczyć, w drodze decyzji, na
podstawie art. 124a ustawy z dnia 21 sierpnia 1997 r. o gospodarce
nieruchomościami (j.t. Dz. U. z 2021 r., poz. 1899 ze zm.) sposób
korzystania z nieruchomości o nieuregulowanym stanie prawnym,
oznaczonej numerem 215/2, w arkuszu mapy ewidencyjnej 21,
położonej przy ul. Hrubieszowskiej w Zamościu, przez udzielenie
zezwolenia na wymianę przewodów jednego z dwóch istniejących
torów linii napowietrznej 110 kV, demontaż przewodów fazowych AFL-
6 240 mm² i odgromowych typu OPGW 24J, wiszących nad ww. działką,
oraz montaż nowych przewodów fazowych AFLs-10 300 mm²
i przewodu odgromowego typu OPGW 48J. Ograniczenie jest zgodne
z miejscowym planem zagospodarowania przestrzennego Miasta
Zamościa i wynika z realizacji inwestycji polegającej na przebudowie
istniejącej linii napowietrznej 110 kV relacji Zamość-Tomaszów
Północ.

Wzywa się osoby, które wykażą, że przysługują im prawa rzeczowe
do przedmiotowej nieruchomości, do zgłoszenia się, w terminie
2 miesięcy od dnia ogłoszenia niniejszego zawiadomienia, do Wydziału
Geodezji i Gospodarki Nieruchomościami Urzędu Miasta Zamość,
ul. Kołłątaja 1, 22-400 Zamość, tel. 84 6772480. Po upływie tego
terminu zostanie wszczęte postępowanie w sprawie ograniczenia
sposobu korzystania z wyżej wymienionej działki.

34198493.n

STAROSTA OSTRZESZOWSKI
GN.6821.4.2022

Ostrzeszów, dnia 18 sierpnia 2022 r.

OBWIESZCZENIE O ZAMIARZE WSZCZĘCIA POSTĘPOWANIA

Na podstawie art. 124b w związku z art. 114 ust 3 i 4 ustawy z dnia 21 sierpnia 1997 r. o gospodarce
nieruchomościami (tj. Dz.U.2021.1899 ze zm.) informuję o zamiarze ograniczenia nieruchomości
położonej w Kochłowach, gmina Ostrzeszów, powiat ostrzeszowski, województwo wielkopolskie,
oznaczonej jako działka ewidencyjna numer 66, jako nieruchomości o nieuregulowanym
stanie prawnym.

Postępowanie prowadzone jest na wniosek firmy Energa-Operator S.A.
Z uwagi na powyższe, na podstawie art. 114 ust. 3 i 4 ustawy o gospodarce nieruchomościami,
Starosta Ostrzeszowski wykonujący zadanie z zakresu administracji rządowej wzywa wszystkie
osoby, którym przysługują prawa rzeczowe do nieruchomości do ich ujawnienia i udowodnienia
w terminie 2 miesięcy od dnia niniejszego ogłoszenia – pod rygorem pominięcia praw tych osób w
postępowaniu o udostępnienie ww. nieruchomości.
Wszelkie oświadczenia, wnioski oraz dokumenty należy przesyłać na adres Starostwa Powiatowego
w Ostrzeszowie, ul. Zamkowa 31; 63-500 Ostrzeszów.

Lech Janicki
Starosta Ostrzeszowski

34198784.n

Sąd Rejonowy w Przasnyszu, I Wydział Cywilny, zawiadamia o toczącym się postępowaniu
spadkowym po Wiesławie Bryl z domu Piechocińskiej, córce Czesława i Heleny z domu
Czarnowskiej, urodzonej 16 kwietnia 1939 roku w Leśniewie, zmarłej 29 listopada 2017 roku
we Wronowie, ostatnio stale zamieszkałej w Leśniewie, w sprawie o sygnaturze akt I Ns 377/20
z wniosku Getin Noble Banku S.A. z siedzibą w Warszawie z udziałem Benedykta Bryła, Mariusza
Rutkowskiego, Grzegorza Rutkowskiego, Marcina Galeckiego, Przemysława Galeckiego,
Wojciecha Galeckiego, Dariusza Galeckiego, Tymona Łęgowskiego, Krzysztofa Galeckiego,
Grzegorza Galeckiego, Danuty Nowotki, Beaty Łęgowskiej, Małgorzaty Galeckiej, Urszuli
Rutkowskiej, Martyny Łęgowskiej, Natalii Łęgowskiej, Anny Konopki, Renaty Bułaj, Aleksandry
Galeckiej, Katarzyny Gadowskiej o stwierdzenie nabycia spadku po Wiesławie Bryl.

Wzywa się spadkobierców wyżej wymienionej osoby, aby w terminie trzech miesięcy od daty
ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się do sądu, w którym toczy się postępowanie (ul.
Świerkowa 7, 06-300 Przasnysz), i udowodnili swoje prawo do spadku, gdyż w przeciwnym razie
mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

34198767.n

Sąd Rejonowy dla Łodzi – Śródmieście w Łodzi zawiadamia
o toczącym się postępowaniu w sprawie o sygn. akt II Ns 306/22
z wniosku Jadwigi Pióro-Smaha

o stwierdzenie nabycia spadku
po Gerardzie Bolesławie Gottfriedzie,

synu Stanisława i Marii, zmarłym w dniu 18 stycznia 2007r. w Łodzi,
ostatnio stale zamieszkałym w Łodzi.

Sąd wzywa niniejszym wszystkich spadkobierców w/w spadkodawcy,
aby w terminie 3 miesięcy od dnia ukazania się ogłoszenia zgłosili się
do Sądu i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą
być pominięci w postanowieniu o stwierdzenie nabycia spadku.

34198805.n

WYCiąG z OGŁOSZENIA O PRZETARGU

Burmistrz Ciechanowca ogłasza przetarg ustny nieograniczony na sprzedaż nieruchomości, który odbędzie się
w dniu 28 października 2022 r. (piątek) o godz. 10.00 w sali konferencyjnej (pok. nr 17) Urzędu Miejskiego w Ciechanowcu.

Przedmiotem przetargu jest:

• działka geodezyjna oznaczona jako działka nr 3035/13 o powierzchni
3,1564 ha, położona w obrębie gruntów Ciechanowiec, gmina
Ciechanowiec. Dla nieruchomości prowadzona jest, przez
Sąd Rejonowy w Wysokiem Mazowieckiem, Księga Wieczysta
LM1W/00021037/0.

Cena wywoławcza nieruchomości: 2 460 000,00 zł

Wadium w wysokości 200 000,00 zł należy wpłacić w taki sposób,
aby środki pieniężne znalazły się na koncie urzędu najpóźniej
w dniu 24 października 2022 r.

1. Wadium należy wpłacić na konto Urzędu Miejskiego w Ciechanowcu
Nr 54 8749 0006 0000 1241 2000 0070
w Banku Spółdzielczym w Ciechanowcu
2. Ogłoszenie o przetargu wywieszono na tablicy ogłoszeń w siedzibie
Urzędu Miejskiego w Ciechanowcu oraz opublikowano na stronie
internetowej Urzędu Miejskiego w Ciechanowcu i na stronie Biuletynu
Informacji Publicznej Urzędu Miejskiego w Ciechanowcu
<https://bip.um.ciechanowiec.wroclapodlasia.pl> w sekcji /Tablica Ogłoszeń/.
3. Szczegółowych informacji o nieruchomości można uzyskać w Urzędzie
Miejskim w Ciechanowcu, ul. Mickiewicza 1, 18-230 Ciechanowiec,
pok. nr 2 lub telefonicznie (86)2771145 wew. 31.

34198720.n



Sąd Rejonowy w Przasnyszu, I Wydział
Cywilny, zawiadamia o postępowaniu
w sprawie o sygnaturze akt I Ns 67/22
z wniosku Teresy Nowackiej o stwierdzenie
nabycia przez zasiedzenie prawa
własności działki oznaczonej numerem
ewidencyjnym 29, o powierzchni 0,14 ha,
położonej w obrębie ewidencyjnym
0033 Szczuki, gmina Płoniawy-Bramura,
powiecie makowskim, województwie
mazowieckim, będącej w posiadaniu
Teresy Nowackiej.

Sąd wzywa osoby zainteresowane tą
sprawą, aby w terminie 3 miesięcy
od daty ukazania się ogłoszenia
zgłosili się do Sądu Rejonowego
w Przasnyszu i udokumentowały swoje
prawa, gdyż w przeciwnym razie osoby
te będą pominięte w postępowaniu.

34198765.n

Przed Sądem Rejonowym w Przasnyszu
- I Wydziałem Cywilnym w sprawie I Ns
340/22 toczy się sprawa z wniosku Zbigniewa
Majkowskiego (adres: Bobino Wielkie 21,
06-210 Płoniawy-Bramura) o uznanie za zmarłego
Józefa Majkowskiego, którego data urodzin
nie jest znana, syna Adama i Franciszki
z d. Pszczółkowskiej. Zaginiony w 1939 r. mając
24 lata dołączył do oddziałów partyzanckich i od
tego czasu nie skontaktował się z rodziną, a jego
los pozostaje nieznan.

Sąd wzywa zaginionego, aby w terminie
3 miesięcy od daty ogłoszenia zgłosił się do Sądu
Rejonowego w Przasnyszu, gdyż w przeciwnym
razie może być uznany za zmarłego. Nadto sąd
wzywa wszystkie osoby, które mogą udzielić
wiadomości o zaginionym, aby w powyższym
terminie (3 miesięcy) przekazały je sądowi.



34198762.n



LÓDZKIE
morze
możliwości
HOSPICJUM ŁUPKOWA
KRS: 0000 159689



www.lupkowa.org

34161489

Poznań

0,5
3,5
0,10

TYS. ZŁ

• Tyle na rękę może zarobić kierowca lub motorniczy w poznańskim MPK. Ponieważ kwota jest zbyt niska, brakuje rąk do pracy. Podobną sytuację widać w innych dużych miastach, np. w Krakowie

Podhale. Wioski pod wodą



FOT. MAREK PODMOCKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Podhalańskie miejscowości, m.in. Ciche Górne czy Ratułów, znalazły się w sobotnie popołudnie pod wodą. Ulewa wywołała tzw. powódź błyskawiczną: przez miejscowości zaczęły płynąć rwące rzeki, zalewając niżej położone posiadłości i porywając pozostawione na zewnątrz rzeczy. Woda pchała również kamienny rumosz, który niszczył pojazdy i ogrodzenia. Przez całą niedzielę w zalanych miejscowościach mieszkańcy porządkowali posesje, czyszczili drogi i szacowali straty. ●

mp

Samorządy

Podwyżki będą nieuniknione

– Brak pełnej rekompensaty w obszarze wpływów z podatku PIT spowoduje, że wszystko odbije się na mieszkańcach – ostrzegali w piątek w Szczecinie Krzysztof Mączkowski, przewodniczący Komisji Skarbników Unii Metropolii Polskich.



• Spotkanie skarbników Unii Metropolii Polskich FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Aleksander Stanuch

W Szczecinie odbyło się seminarium skarbników miast zrzeszonych w Unii Metropolii Polskich. Wnioski nie są optymistyczne. Ze względu na wysoką inflację i rosnące ceny samorządy będą musiały podwyższyć ceny usług, m.in. komunikacji miejskiej, wywozu śmieci, co odbije się na mieszkańcach.

Mniej pieniędzy na sport

Sytuację samorządów pogarszają zmiany w systemie podatkowym wprowadzone przez rząd w ciągu roku. Skarbnicy miast zrzeszonych w Unii Metropolii Polskich wskazują, że przez to nie są w stanie ocenić realnego potencjału dochodowego. A to właśnie wpływy z podatków są największym źródłem dochodów dla miast, stanowiąc prawie 25 proc. ich budżetów.

– Informacji z Ministerstwa Finansów jest niewiele. Musimy szacować nasze dochody i jakie skutki mogą wywołać obecne działania rządowe w kwestii podatków – mówił Krzysztof Mączkowski, przewodniczący Komisji Skarbników Unii Metropolii Polskich. – Każda zmiana znacząco wpływa na potencjał wydatków naszych budżetów. Brak pełnej rekompensaty w obszarze wpływów z podatku PIT spowoduje, że wszystko odbije się na

naszych mieszkańcach. Skarbnicy uważają, że samorządy będą musiały zwiększać dochody z innych źródeł. Możliwe jest także obniżenie jakości usług lub zrezygnowanie z jakiejś części, np. mniej kursów w komunikacji miejskiej. Ograniczone mogą być też wydatki na sport, edukację, pomoc społeczną itp.

– Już teraz mieliśmy problem, żeby zbilansować budżet, a kolejny rok zapowiada się jeszcze gorszy pod tym względem. Dochody spadają, a wydatki rosną, zatem podwyżki będą nieuniknione – twierdzi Izabela Kuś, skarbnik Gdańska. – Najbardziej obawiamy się wzrostu kosztów energii. Chodzi o ogrzewanie i oświetlenie w szkołach, ale też paliwo i energię.

Skarbnicy zapowiedzieli, że samorządy zrobią wszystko, aby nie obniżyć wydatków inwestycyjnych. Przy obecnych cenach za tę samą kwotę będzie można wykonać jednak mniej projektów.

Ograniczone mogą być wydatki na sport, edukację, pomoc społeczną

Ratunek dla samorządów

Rozwiązaniem jest pakiet ratunkowy ustaw, czyli Sanacja Finansów Państwa Polskiego. 21 lipca władze polskich miast złożyły ją w Senacie. 5 września planowane jest wysłuchanie publiczne projektów podczas posiedzenia trzech komisji senackich.

– System finansowania jednostek samorządu terytorialnego wymaga całkowitego przemodelowania. Potrzebna jest zupełnie nowa ustawa, która na nowo ustali model transferu pieniędzy między budżetem państwa a budżetami samorządów, w szczególności tych największych miast – mówi Dorota Pudło-Żylińska, skarbnik Szczecina.

Główne założenia Sanacji Finansów Państwa Polskiego to podwyższenie procentowych udziałów jednostek samorządu terytorialnego we wpływach z PIT i wprowadzenie mechanizmu indeksacji części oświatowej subwencji ogólnej. Pakiet działań doraźnych obejmuje: obniżenie stawki VAT na usługi dotyczące transportu publicznego i gospodarki odpadami, zmianę metody podziału subwencji rozwojowej (rekompensującej ubytki dochodów z PIT), zwaloryzowanie kwoty subwencji oświatowej na 2022 r. o wskaźnik bieżącej inflacji. ●

Kraków

Piekarze pod ścianą

Czy przez inflację będziemy jeść produkty chlebowopodobne, bo prawdziwe pieczywo będzie kilka razy droższe?

Grzegorz Krupa, właściciel krakowskiej piekarni zatrudniającej ponad 20 osób, z miesiąca na miesiąc dostaje coraz wyższe rachunki za gaz. – Mogę pokazać wszystkie faktury. W styczniu 2021 r. płaćcielem za gaz 12 tys. zł, rok później, w styczniu 2022 r., już 34 tys. zł, natomiast ostatnio dostałem fakturę na 58 tys. zł. To podwyżki na niespotykaną dotąd skalę – ubolewa w rozmowie z „Wyborczą”. Krupa jest mistrzem piekarskim i zarazem starszym Cechu Rzemiosł Spożywczych.

W podobnej sytuacji jest wielu krakowskich piekarzy i cukierników. Zadają sobie pytanie, co dalej robić: ograniczyć produkcję, podnieść cenę trzykrotnie czy też – by

przecież w tarczy antyinflacyjnej obniżono VAT do zera, więc jest to wystarczające wsparcie. Ale nam to nic nie daje, bo nasi przedsiębiorcy rozliczają się głównie w cenach netto – komentuje Grzegorz Krupa.

Teraz piekarze są w jeszcze gorszej sytuacji niż na początku roku, gdy pisali list do premiera. Ceny energii jeszcze bardziej poszybowały w górę. – Nieopłacalność produkcji spowodowana rachunkami za energię może skutkować decyzjami o wstrzymaniu działalności lub ograniczeniu asortymentu – ostrzega Grzegorz Krupa. Zwraca uwagę, że aby rzemieślnicy mogli się utrzymać, jedynym wyjściem wydaje się ciągle podwyższanie cen. To jednak trudne do wykonania, bo wówczas przegrają konkurencję z producentami tańszych, mniej jakościowych produktów.

– Grozi nam pauperyzacja branży lub wyparcie rzemiosła przez duże koncerny i wyroby chlebowopodobne – ostrzega Grzegorz Krupa. Komentuje, że rzemieślnicze piekarnie i cukiernie to często miejsca o wielopokoleniowej tradycji, wpisane w życie lokalnych społeczności. – Jeśli te zakłady znikną, odbije się to długofalowo na zdrowiu mieszkańców, którzy będą skazani na jedzenie wysokoprzetworzonej, marketowej żywności czy pieczywa z ciasta głęboko mrożonego w sklepach franczyzowych – dodaje.

Sytuację komplikuje fakt, że na rynku piekarskim zostały zachwiane warunki równej konkurencji. Jedni płać jeszcze niższe stawki za gaz, bo mieli umowy podpisane na dłuższy czas, inni dostają podwyżki. Życie piekarzom skomplikował też „Polski ład” i jego modyfikacje. Przedsiębiorcy zmagali się ze zmianami podatkowymi, do tego wzrosły stopy procentowe, a więc zdrożały raty kredytów.

Cech Rzemiosł Spożywczych apeluje do rządu o objęcie piekarzy i cukierników specjalną taryfą o obniżonej cenie gazu. ●

Magdalena Kursa

Piekarze zadają sobie pytanie, co dalej robić: ograniczyć produkcję, podnieść cenę trzykrotnie czy też „pompować” pieczywo

nie narażać ludzi na drastyczne podwyżki – robić więcej tzw. pompowanego pieczywa, czyli takiego, które po dodaniu spulchniacza wygląda np. na kilogramowy bochenek, a waży znacznie mniej.

Największym problemem piekarzy są wzrosty cen energii oraz mąki. Cech Rzemiosł Spożywczych w Krakowie już w styczniu tego roku (czyli jeszcze przed wojną w Ukrainie) wysłał do premiera Mateusza Morawieckiego list otwarty, w którym alarmował o problemach branży piekarskiej i cukierniczej. Rzemieślnicy apelowali o obniżenie cen gazu potrzebnego do wypieku wyrobów.

– W odpowiedzi dostaliśmy tylko lakoniczne wyjaśnienie, że

Demokracja i autokracja

Reżimy Putina i Kaczyńskiego cierpią na te same dolegliwości

Władza autokratyczna nie rozwiązuje żadnych problemów i nie odpowiada na żadne wyzwania.
Jedynym jej celem jest trwanie i wyrywanie dla siebie tyle pieniędzy i przywilejów, ile się da

Gadomski



„Dobrą rzeczą w tym kraju jest to, że wszystko zawodzi bez względu na wszystko. Dlatego żartujemy, że faszyzm nigdy nie mógłby zadziałać w Rosji – bo tu nic nie działa” – mówi rosyjski socjolog Borys Kagarlicki w wywiadzie dla amerykańskiego portalu „Jakobin”.

Nic nie działa dlatego, że decyzje podejmuje bardzo wąski zespół skupiony wokół Putina. Kagarlicki nazywa to „irracjonalną centralizacją władzy”. Lokalna biurokracja jest nieefektywna i skorumpowana, a w dodatku centrum nie ma do niej zaufania, więc skupia w swych rękach coraz więcej władzy. „To samonapędzający się proces, który stał się całkowicie irracjonalny i wykracza daleko poza wszystko, co widzieliśmy w okresie sowieckim” – mówi rosyjski socjolog.

Uważa, że rosyjskie społeczeństwo trzyma się z dala od polityki do tego stopnia, że niemal nic nie wie o wojnie, która toczy się w Ukrainie. Nic nie wie, bo nie chce wiedzieć, gdyż Rosjanie skupiają się na sprawach najbliższych – na rodzinie, pracy, przyjemnościach – i nie widzą, w jaki sposób ich wybory mogą cokolwiek w Rosji zmienić.

Putin jest jedynym człowiekiem, który może podejmować istotne dla kraju decyzje, mimo że jest bardzo odizolowany. Otaczający Putina to niewielka grupa, która również jest skrajnie odizolowana, nawet w obrębie szerszej elity władzy. Ta bardzo mała grupa wciąż ma poparcie wojska i policji, ale nie dba o poparcie społeczne. Dbą jedynie o to, by społeczeństwo pozostało bierne, bo to gwarantuje utrzymanie władzy i przywilejów. Dlatego, choć sytuacja gospodarcza i międzynarodowa Rosji jest coraz trudniejsza, nikt nie podejmuje decyzji – trafnych lub nie – które byłyby odpowiedzią na te wyzwania.

Kagarlicki uważa, że ani Putin, ani nikt z jego otoczenia nie ma pomysłu na wyjście z kryzysu, w jaki się wpakowali, napadając na Ukrainę. Może nawet nie wiedzą, że taki pomysł powinni mieć. Decyzje są podejmowane od przypadku do przypadku, często sprzeczne. Dlatego dla świata wojna w Ukrainie jest tak niezrozumiała. Mówi o tym zresztą w cyklicznych występach na YouTube Igor Girkin (znany pod pseudonimem „Strielkow”), agresywny rosyjski imperialista, który odegrał kluczową rolę w agresji w Donbasie w 2014 roku. Girkin podziela cele „operacji specjalnej” Putina, ale ostro krytykuje jej przebieg, pokazując absurdalność wielu decyzji rosyjskich generalów. Na przykład to, że



• Prezes PiS Jarosław Kaczyński FOT. DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

atakują kosztownymi raketami Iskander obiekty cywilne, pozostawiając nietknięte ważne cele strategiczne.

Niektórzy sądzą, że system autokratyczny działa sprawniej niż liberalna demokracja. Skoro jest jeden ośrodek decyzyjny, decyzje mogą być podejmowane szybko, bez konsultacji wymaganych w systemie liberalnym. Nie ma przeciągających się posiedzeń parlamentu, krytycznych mediów, organizacji obywatelskich blokujących decyzje centrum.

Borys Kagarlicki udowadnia, że pogląd o większej sprawności autokracji jest całkowicie błędny. Zasadniczą sprawą jest dostęp do właściwych informacji, który w systemie autokratycznym jest utrudniony. Podwładni manipulują dyktatorem, przekazując mu informacje korzystne dla siebie, pomijając te, które mogą zagrozić ich pozycji. Niektóre informacje zachowują tylko dla siebie, traktując je jako atut w walce z konkurentami. Problem ten znakomicie analizował Friedrich Hayek, który w artykule „Wykorzystanie wiedzy w społeczeństwie” („American Economic Review”, nr 4, wrzesień 1945) pisał:

„Jeśli zgodzimy się, że ekonomiczny problem społeczeństwa polega głównie na szybkim przystosowaniu się do zmian zachodzących w określonych warunkach czasu i miejsca, to wydaje się, że ostateczne decyzje należy pozostawić ludziom, którzy są zaznajomieni z tymi okolicznościami, wiedzą bezpośrednio o zasobach i zachodzących zmianach. Nie możemy oczekiwać, że problem ten zostanie rozwiązany poprzez przekazanie całej tej wiedzy do centralnego zarządu, który po zintegrowaniu całej wiedzy wydaje rozkazy. Musimy go rozwiązać jakąś formą decentralizacji”.

Tak jak w gospodarce centralnie zarządzanej dyrektorzy poszczególnych jednostek nie przekazywali na szczebel wyższy pełnych i prawdziwych informacji o posiadanych zasobach i możliwościach ich wykorzystania – bo to pogorszyłoby ich pozycję wobec konkurentów i zwierzchników – tak też w systemie autorytarnym

urzędnicy na wszystkich szczeblach zatrzymują dla siebie część informacji przekazywanych wyżej.

Ale to tylko część problemu. Trudno jest w systemie autorytarnym zintegrować społeczeństwo i biurokrację wokół wspólnych celów, takich jak podniesienie średniego poziomu życia, poprawa usług publicznych czy choćby wyeliminowanie społecznych patologii. Autokrata czy dyktator może wyznaczać takie cele i egzekwować ich realizację, ale jego podwładni mają cele własne – utrzymanie, a jeszcze lepiej wzmocnienie swej pozycji w hierarchii biurokratycznej. Oczywiście robią wszystko, by nie podpaść szefowi, udają, że z entuzjazmem realizują wyznaczone im zadania, ale w rzeczywistości robią tylko to, co zapewnia im bezpieczeństwo i awans.

Nie ma więc samodzielnych decyzji i działań służących dobru wspólnemu. Co więcej, dobro wspólne jest tylko pustym hasłem, tym dobitniej wygłaszanym, im bardziej poszczególne szczeble biurokracji dbają o partykularny interes. Każde działanie w tym systemie, nawet jeżeli przypadkowo jest pozytywne i korzystne dla społeczeństwa, służy przede wszystkim celom propagandowym, czyli umocnieniu reżimu.

Sytuację pogarsza brak wolnych i obiektywnych mediów, które mogłyby przedstawiać rzeczywistą sytuację. Nawet jeżeli istnieją media antyrządowe, takie jak Radio Wolna Europa w PRL czy portale internetowe we współczesnej Rosji, dla funkcjonowania reżimu nie mają większego znaczenia. Autokrata nie wie, czy podawane w nich informacje są prawdziwe, czy też są elementem antyrządowej propagandy. Oczywiście podwładni „szefa wszystkich szefów” przekonują go i opinię publiczną, że opozycyjne media kłamają i nie należy się nimi przejmować.

Gdy czytałem wywiad z Borysem Kagarlickim, miałem momentami wrażenie, że mówi o Polsce. Tak, wiem, że to przesada. Wciąż mamy demokrację i choć wymiar sprawiedliwości został

zepsuty, a prokuratura i służby specjalne są podporządkowane jednemu ośrodkowi, którym kieruje Jarosław Kaczyński, nie ma krwawych represji wobec opozycji, funkcjonują media niezależne od władz, a niezależni eksperci, przynajmniej niektórzy, nie boją się krytycznie oceniać działań urzędników. Ale szereg patologii, które w Rosji doprowadziły do katastrofalnej decyzji rozpoczęcia wojny przeciwko Ukrainie, występuje także w Polsce.

Jarosław Kaczyński, wbrew faktom i doświadczeniu, jakie zdobył w czasie długoletniej kariery polityka, jest przekonany, że centralizacja zapewnia skuteczność. Donald Tusk opowiadał o rozmowie, którą kiedyś odbył z Kaczyńskim. Na pytanie, dlaczego w swym otoczeniu toleruje ludzi o wątpliwej uczciwości, szef PiS odpowiedział: „Brudną szmatą też można wytrzeć dużo kurzu”. To pokazuje jego stosunek do podległych mu działaczy. Nie wierzy w ich uczciwość, w sprawność i kompetencje. Wierzy, że gdy wyda polecenie, wykonają je z obawy przed konsekwencjami odmowy.

Tworzy więc biurokrację, która z założenia jest nieefektywna. Z ujawnionych maili Michała Dworczyka dowiedzieliśmy się, że urzędnicy i działacze, zanim podejmą jakąś inicjatywę, zastanawiają się, jak wpłynie ona na poparcie wyborców dla władzy. Czy przekazana publicznie informacja zaszkodzi rządowi i rządzącej partii, czy pomoże. Jeżeli zaszkodzi, należy ją zatrzymać w tajemnicy. Dlatego też informacje o katastrofie ekologicznej w Odrze były tak długo utajniane.

System zbudowany przez Kaczyńskiego nie ma strategicznego celu. Nie jest nim ani podniesienie poziomu inwestycji do 25 proc. PKB – co obiecywał tzw. plan Morawieckiego (skończyło się na znacznej obniżce stopy inwestycji) – ani wzmocnienie pozycji międzynarodowej Polski, o czym trąbi rządowa propaganda, ale chyba nawet przywódca PiS w to nie wierzy, ani nawet „zbudowanie nowych elit” – bo Obajtek nigdy nie będzie Kulczykiem, Jakimowicz – Gajosem, Glapiński – Balcerowiczem, a Karnowski – Michnikiem.

Jedynym celem tej władzy jest trwanie i wyrywanie dla siebie tyle pieniędzy i przywilejów, ile się da. Może to być miejsce w zarządzie banku państwowego dla młodego działacza, dla którego jest to pierwsza praca, załatwienie, że nudna, zalegająca w księgarniach „cegła” zaprzyjaźnionego z władzą profesora zostanie zamieniona na podręcznik, za który można otrzymać potężne honorarium, lub też dobre miejsce na listach wyborczych syna znanego działacza PiS – 40-letniego „młodzieńca”, który nie nadaje się do żadnej normalnej i uczciwej pracy i wcale takiej nie szuka.

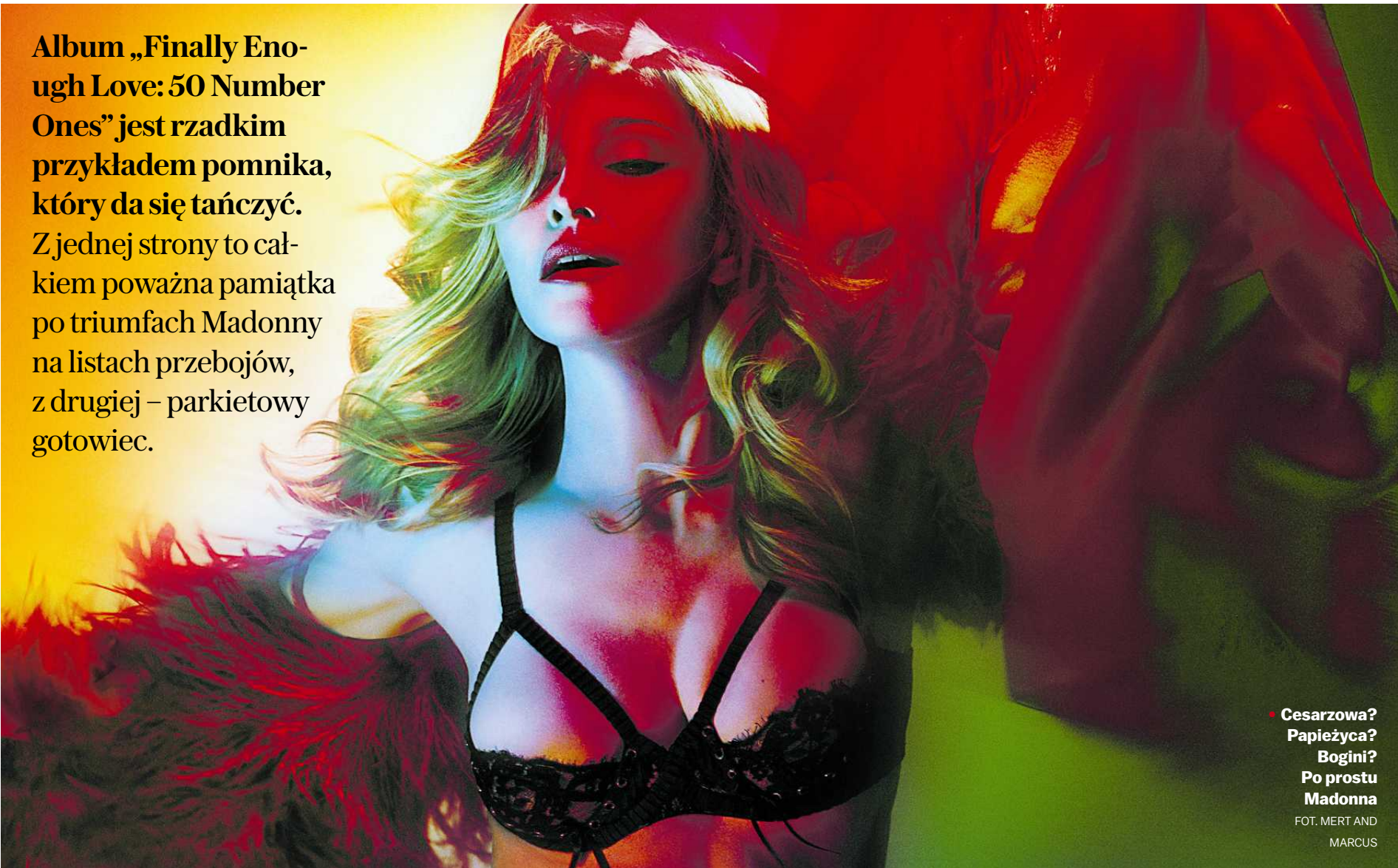
Kiedyś Kaczyński potrzebował „brudnych szmat”, którymi można ścierać kurze. Ale teraz nie ma już ambicji, by je ścierać. ●

Witold Gadomski

Nowa płyta gwiazdy popu

50 RAZY MADONNA

Album „Finally Enough Love: 50 Number Ones” jest rzadkim przykładem pomnika, który da się tańczyć. Z jednej strony to całkiem poważna pamiątka po triumfach Madonny na listach przebojów, z drugiej – parkietowy gotowiec.



• Cesarzowa? Papieżycza? Bogini? Po prostu Madonna

FOT. MERT AND MARCUS

Jarek Szubrycht

Słysz – albo, o zgrozo, czasem sam piszę – że dziś królową popu jest Beyoncé. Albo Lady Gaga. Może nawet Rihanna czy Dua Lipa. Jeżeli one z tym swoim na razie cieniutkim dorobkiem mogą aspirować do tego tytułu, jak w takim razie powinniśmy nazywać Madonnę? Cesarzową? Papieżyczą popu? Boginią?

MADONNA, CO WYSZŁA Z KLUBU

Miałem pewnie z 12 lat, kiedy postanowiłem ożenić się z Madonną. Niestety, byłem dla niej wtedy za młody. Potem na chwilę straciłem ją z oczu i okazało się, że jestem już dla Madonny za stary. Trochę przykro, ale nie po raz pierwszy złamała mi serce. Byłem jej fanem od „Like a Virgin”, od 1984 roku, ale płyt oczywiście nie miałem, bo w peerelowskich księgarniach nie gościły, nawet na pirackie kasety było wtedy za wcześnie, skazany więc byłem na nagrywki z radia i łaskawość panów od muzyki z telewizji.

Namawiałem więc rodziców, żeby kupili mi prawdziwą płytę Madonny, bo to i jakość dźwięku niesłychana, i piękne, kolorowe okładki na kredowym papierze, w Polsce takich nie mieliśmy. W końcu ulegli, powierzyli fortunę umyślnemu, który jechał do Krakowa. Posłaniec misję wypełnił, przywiózł mi upragniony album (na oryginalnej, wydanej gdzieś na Zachodzie kasecie) i... totalne rozczarowanie. Utwory były za długie, pozbawione wyrazistych refre-

nów, niespecjalnie podobne do singli znanych mi z radia i „Wideoteki”, zdominowane przez jednostajny, taneczny rytm. Co ta Madonna?

Miałem nadzieję na któryś z regularnych albumów studyjnych, na „Like a Virgin” lub „True Blue”, tymczasem niechęćcy wszedłem w posiadanie „You Can Dance”. To długogrająca płyta z remiksami singli Madonny, która ukazała się w listopadzie 1987 roku, jedno z pierwszych tego rodzaju wydawnictw w historii fonografii. Nie miałem, bo nie mogłem mieć wtedy pojęcia, czym właściwie jest remiks, dlaczego niby znam te piosenki, ale brzmią inaczej, za jakie grzechy ciągną się dłużej, niż powinny, i są takie monotonne. Cemu to w dodatku jest takie żwawe, takie... dyskotekowe.

Nie tylko nie wiedziałem, czym są remiksy, jak i po co się je robi, ale też nie miałem pojęcia, że Madonna nie spadła nam z nieba, lecz wyloniła się z nowojorskiej sceny klubowej, z takich miejsc jak Danceteria czy Fun House. Nawet kiedy była już tak wielka, że nie mieściła się w żadnej z tych nor, nigdy się ich nie wyrzekła.

Pół setki numerów, nawet najfajniejszych, to nie w kij dmuchał. Może i uważne słuchanie całości, piosenka po piosence, będzie doświadczeniem nużącym, jeśli zabierzecie się do tego zapadnięci w ulubiony fotel

Nie bez powodu wspominam o tamtej kasecie. Na „Finally Enough Love: 50 Number Ones” znalazły się trzy utwory z „You Can Dance”, bo nowe wydawnictwo Madonny jest zbiorem singli, które trafiły na szczyt publikowanego przez tygodnik „Billboard” zestawienia Dance Club Songs, czyli listy najlepszych tanecznych numerów klubowych. Nikt przed Madonną nie miał tam aż pięćdziesięciu numerów. Właściwie to nikt inny nie miał tyłu na żadnej innej liście „Billboardu”. Ale wiadomo, Madonna jest tylko jedna.

50 PIOSENEK = IMPREZA CAŁĄ NOC

Większość piosenek z tego imponującego zestawu jest znana nawet niedzielnym fonom Madonny, przynajmniej tym po trzydziestce: „Material Girl”, „Into the Groove”, „Like a Prayer”, „Vogue”, „Frozen”, „Ray of Light”, „Music” itd., długo by wyliczać. Na szczęście nie mamy do czynienia z kolejną składanką największych hitów, ale – właśnie – z albumem wypełnionym remiksami albo przynajmniej rzadkimi, singlowymi wariantami kanonicznych utworów.

Oczywiście jak zawsze w przypadku kolekcji remiksów, nie wszystkie są udane. Czasami dlatego, że ktoś próbował naprawić coś, co nie było zepsute, nie do końca rozumiejąc, co w danej piosence najfajniejsze, innym razem dlatego, że właśnie materiał wyjściowy nie był najlepszej jakości (umówmy się, hity Madonny z lat 80. i 90. przewyższają jej produkcje z tego stulecia).

Zdarzają się też rzeczy tak kuriozalne, że aż na swój sposób fajne – tu wskazałbym przede wszystkim taneczny, zrobiony na bogato „Don't Cry for Me Argenti-

na (Miami Mix Edit)”. Koszmarek, ale i tak nie zszedłbym z parkietu. Dla równowagi mamy „Die Another Day”, którą Deepsky tak dopalili dźwiękowym paliwem raketowym, że brzmi, jakby nie pochodziła ze ścieżki dźwiękowej Bonda, ale z „Gwiezdnych wojen”.

Każdy chce pracować z Madonną, więc wśród oprawców jej hitów znaleźć można klubową elitę z wczoraj i dziś, takie nazwiska, ksywy i nazwy jak: William Orbit, Avicii, Pet Shop Boys, Benny Benassi, Bob Sinclar, Sasha, Deepsky, Honey Dijon... To gwarancja jakości, ale jeszcze bardziej różnorodności, bo mamy do czynienia z różnymi epokami, technologiami oraz trendami w muzyce elektronicznej. Za częścią z nich usilnie próbowała nadażyć Madonna, inne pokornie Madonnie i jej dziedzictwu się kłaniały. Tak czy owak, mamy tu kawał fascynującej historii muzyki pop, a przy tym bardzo niewiele kurzu. To wciąż lśni – złotą kulą u sufitu, cekinami i lateksem, gołą skórą pokrytą potem...

Pół setki numerów, nawet najfajniejszych, to nie w kij dmuchał. Może i uważne słuchanie całości, piosenka po piosence, będzie doświadczeniem nużącym, jeśli zabierzecie się do tego zapadnięci w ulubiony fotel. Jeżeli jednak planujecie imprezę, łatwo zaoszczędzić na didżeju – wystarczy odpalić „Finally Enough Love: 50 Number Ones”, zapętlić całość i doskonała zabawa do białego rana gwarantowana. ●

Madonna



Finally Enough Love: 50 Number Ones

Warner Music

Zobaczyłem rzeczy, których

– Najbardziej w polskich siatkarzach lubię to, że nigdy nie kwestionują tego, co mówię. Tutaj trener ma wyjątkowy szacunek. I komfort pracy – mówi „Wyborczej” serbski trener reprezentacji Polski, która będzie broniła złota na rozpoczynających się w piątek mistrzostwach świata.

ROZMOWA Z

NIKOLĄ GRBICIEM

trenerem reprezentacji Polski siatkarzy

RAFAŁ STEC: Wielu ludzi w Polsce sądzi, że mamy najlepszą siatkówkę na świecie. Reprezentacja może przegrać mecz albo dwa, nawet cały turniej, ale jeśli porównać całokształt naszych siatkarskich zasobów z konkurencją, to jesteśmy na szczycie. To realna ocena czy zarozumiałstwo?

NIKOLA GRBIĆ: Ja się zgadzam. Istnieją kraje, które mają równie długą lub dłuższą tradycję w tym sporcie, które też sporo inwestują, ale wy robicie różne rzeczy w sposób, którego nie spotkałem w innych państwach. Myślę przede wszystkim o pracy z młodzieżą, jej zakresie, skuteczności. Co nie znaczy, że powinniście zawsze i wszędzie czuć się faworytami.

Doprecyzuję: niekoniecznie mamy najsilniejszą podstawową szóstkę na świecie, ale gdyby trzeba było wystawić 30 graczy, to dysponowalibyśmy już zdecydowanie najsilniejszą drużyną.

– Wtedy tak. Produkujecie na masową skalę, wybieram z tak szerokiego grona zawodników najwyższej klasy światowej, że nigdzie indziej nie miałbym podobnego luksusu. Dlatego tylko wariat nie chciałby trenować reprezentacji Polski. Mój klubowy prezes nie zgadzał się, żebym łączył posadę w Perugii z pracą dla PZPS, ale jego opór nie miał dla mnie znaczenia. To zbyt wspaniała okazja.

Jeśli Brazylia traci z powodu kontuzji dwóch-trzech ludzi, staje się kompletnie inną drużyną. Słabszą, z wyraźnymi wadami. A w Polsce to tak nie działa, średni poziom w szerokiej reprezentacji jest niebotycznie wysoki, wszystkich siatkarzy dzielią mikroskopijne różnice. Czasami nawet nie tyle jeden jest lepszy od drugiego, co ma trochę lepszą cechę, na której akurat mi zależy. Dlatego wybór czternastki na turniej jest ekstremalnie trudny i nie mogę być pewien, że podjąłem właściwe decyzje. Co więcej, wszyscy czują, że zasłużyli na powołanie do ostatecznej, wąskiej kadry, i mają rację. Trudno im spokojnie przyjąć do wiadomości, że są odsuwani, czują gniew. Rozumiem to, też cierpią. Gdybym mógł wziąć 25 zawodników, to przeciętna jakość gracza wcale by się nie obniżyła.

Mówił pan, że polska siatkówka jest osobna, inna. Konkrety?

– Przede wszystkim pomysł i rozmach szkolenia młodzieży. Serbia też należy do czołówki, ale my pod tym względem nawet się do was nie zbliżamy. Może się udać pokolenie i będą wyniki, może się nie udać i zrobi się źle. Kiedy odejdą najstarsi gracze z obecnego pokolenia, czarno widzę naszą przyszłość. A wy będziecie tylko rośli.

Nie wyjaśnimy tu wszystkiego tym, że Polska jest ekonomicznie potężniej-

sza, ma więcej ludzi. Możemy porównać was z Włochami czy Francją, gdzie też dysponują wszystkim, co niezbędne – i wiedzą o skutecznej edukacji, i sprzętem, i infrastrukturą. Ale tu inwestuje się w przyszłość najmądrzej i z unikalną dbałością o szczegóły. Powtarzam: zobaczyłem w Polsce rzeczy, których nie widziałem nigdzie indziej.

Druga popularna u nas fraza: Wilfredo León to najlepszy gracz świata.

– Jeden z najlepszych. W siatkówce role na boisku za bardzo się od siebie różnią, żeby było możliwe wskazać jednego. Są nieporównywalni. W innych sportach zespołowych bywa podobnie – wielki był Kobe Bryant, ale wielki był też Shaquille O’Neal, skoro ze względu na jego styl, dominację pod koszem, zmieniono przepisy gry w koszykówkę. A siatkówka jest najbardziej drużynowa, zdobywanie punktów zależy od złożonej, wieloosobowej kombinacji ruchów. Kiepski rozgrywający potrafi zrobić z rewelacyjnego atakującego przeciętniaka i odwrotnie. Wszyscy zależą od siebie, jednostka może wpłynąć na wynik tylko do pewnego stopnia. Jesteś tak silny, jak najsłabszy element zespołu.

W siatkówce w swojej roli dominujący – jak O’Neal w koszykówce – jest Simón, który może być mniej renomowany dlatego, że nie zdobywał medali w rozgrywkach drużyn narodowych [to jeden z wybitnych Kubańczyków, który nie wybrał gry pod inną flagą]. Ale na pozycji środkowego należy do najznakomitszych w historii. Dlatego nie mamy prawa powiedzieć: León jest absolutnie najlepszy.

Była szansa, że zagra na mundialu?

– Tak, ale ostatecznie okazało się, że podjęlibyśmy zbyt wielkie ryzyko. Operacja mu się spóźniła, bo lekarz był niedostępny – gdyby chirurg zajął się nim trzy tygodnie wcześniej, pewnie by zdążył, zrobił wszystko, co w jego mocy.

Dzisiaj nie chodzi nawet o to, że długo nie ćwiczył. Zdarzają się nadzwyczajni zawodnicy, którzy nawet bez treningu są w stanie dać bardzo wiele. W jego wypadku chodzi o zdrowie. Gdy nie doszedłeś do absolutnej pełni sprawności, to jest niebezpieczeństwo, że uszkodzisz się gdzie indziej. Bo będziesz się starał wkładać w grę taki wysiłek jak zwykle, a ciało nie jest na to gotowe.

Jak Wilfredo zareagował na decyzję?

– Był bardzo rozczarowany. To oczywiste, każdy ambitny sportowiec by był. Ja zresztą też byłem – dopiero zacząłem pracę z reprezentacją Polski, mam cele sięgające igrzysk, przed nami nie tyle mundial, co mundial u siebie. Obu nam zależało tak samo. Ale spisaliśmy wszystkie za i przeciw, nie było wyjścia. Nie wolno ryzykować czyjąś karierę dla pojedynczej imprezy.

Polska bez niego jest słabsza? Na pozycji przyjmujących mamy Kamila Se-



• **Nikola Grbić podczas piątkowego meczu Polski z Argentyną na Memoriale Huberta Wagnera w Tauron Arenie w Krakowie**

FOT. JAKUB PORZYCKI /
AGENCJA
WYBORCZA.PL

meniuka i Aleksandra Śliwkę, czyli siatkarzy, którzy wygrali Ligę Mistrzów. I to dwukrotnie.

– W tym pytaniu jest zawarta odpowiedź, a ja nigdy sobie takiego pytania nie stawiam. To nie ma sensu, w niczym nie pomoże. Grasz tym, co masz. Mógłbym też się zastanawiać, czy nie byłoby piękniej, gdyby zdrowy był Norbert Huber, ale traciłbym czas. Zawsze musisz szukać granic swoich możliwości w okolicznościach, w których się znajdujesz. Zresztą ustaliliśmy już, że polska siatkówka jest bardzo bogata, żadne problemy nie powinny nas deprymować. Nie wolno nawet przez ułamek sekundy pomyśleć o jakichkolwiek wymówkach. Ma się udać, i tyle.

Mamy powody uważać się za głównych faworytów mundialu?

– Nie. Francja, która zdobyła złoto olimpijskie w Tokio, w swoim dniu potrafi pokonać każdego. W grupie mamy USA, które w Lidze Narodów pokonały nas 3:0, choć nie mieli swojego najlepszego zawodnika [Matthew Andersona]. Są Włosi, którzy na mundialu zagrają znacznie lepiej, niż grali w ostatnich tygodniach. To samo mogę powiedzieć o Słowenii...

W Polsce średni poziom w szerokiej reprezentacji jest niebotycznie wysoki, wszystkich siatkarzy dzielią mikroskopijne różnice

Jak zhierarchizowałbyś obecną czołówkę?

– To jest tak trudne, że właściwie niemożliwe. Nie dam się wciągnąć w zabawę w bukmachera, który udaje, że umie policzyć, jak będzie wyglądało jutro, choć ma nikłą wiedzę – bazuje głównie na przeszłości, nie wie, jak u kogo przebiegały przygotowania, nie wie, na czyją korzyść w decydującym momencie pomyli się sędzia. Czasami trzy milimetry dzielą asa serwisowego od autu, a mecze są bardzo wyrównane. Jak cokolwiek przewidywać?

Pamiętam czas, w którym każdy wiedział, że najlepsza jest Brazylia.

– Ten czas minął. Mamy szeroką, złożoną z sześciu-siedmiu ekip czołow-

nie widziałem nigdzie indziej



kę, każdy turniej wygrywa ktoś inny. To powoduje, że wszyscy wierzą w siebie, mierzą bardzo wysoko. I nawet jeśli odważymy się wskazać faworyta, to ten faworyt będzie miał mniejsze prawdopodobieństwo sukcesu niż przed laty.

Nie zajmuję tym głowy. Wierzę w proces, codzienną robotę, codzienny postęp. Maksymalizowanie szans na wygraną. A potem i tak może zdecydować łut szczęścia albo taki drobniaczek, jak dokonana przeze mnie o jedną akcję za późno zmiana. Albo zmiana idealnie wymierzona. Każdy poważny trener powie to samo: warto poświęcać uwagę tylko temu, nad czym ma się kontrolę.

Ale wszyscy wokół drużyny zawsze prognozują, oceniają szanse. Taka natura sportu. A ja byłem na wszystkich ważnych imprezach siatkarskich w XXI wieku i przyzwyczaiłem się do jednej zasady: im bardziej czujemy się mistrzami, tym większe ryzyko katastrofy. Im więcej w nas pokory, nawet niewiary, tym chętniej Polacy odnoszą sensacyjne triumfy.
– W Serbii dzieje się identycznie. Wiara w siebie jest bezcenna, ale łatwiej się

gra, gdy nie przygniatają cię oczekiwania. To dotyczy wszystkich.

Dlatego nie ma sensu niczego obiecywać. Zawodnicy często mają w zwyczaju skupiać się na żądaniach kibiców, którzy przecież, powiem brutalnie, niewiele wiedzą. Niewiele wiedzą o tym, co dzieje się w drużynach, za drzwiami hal treningowych. I ich przekonania są dalekie od prawdy. Ja nie zamierzam nakładać na zawodników dodatkowej presji, bo wiem, że oni sami ją na siebie nakładają.

Pan czuje presję?

– Oczywiście. Każdy członek ekipy czuje. Przedostatni mundial był w Polsce i wygrała Polska. Następny też wygrała Polska. Czyli teraz nawet srebro będzie krokiem w tył.

Różnica między mniej doświadczonym a niedoświadczonym człowiekiem sportu polega tylko na tym, że doświadczony lepiej rozpoznaje rodzaj stresu, lepiej sobie z nim radzi. Bo już przez to przeszedł. I wie, co go czeka. Ja przeżyłem wszystko [Grbić zdobywał największe trofea, łącznie ze złotem olimpijskim jako zawodnik] i moje zadanie polega na tym, by pomóc zawodnikom skupić się po prostu na siatkówce: na treningu, na grze.

Gwarancji powodzenia nie ma, czasami trzeba przegrać, żeby się rozwinąć i wygrać następnym razem.

Nasi ludzie są gotowi? Reprezentacyjni debiutanci, jak Marcin Janusz, czy niedebiutanci, którzy dotąd nie musieli odgrywać pierwszoplanowych ról, jak Kamil Semeniuk, triumfowali z Zaksą w Lidze Mistrzów, więc dysponują odpowiednią jakością sportową. Różnica między grą dla klubu z niewielkiego miasta a grą dla drużyny narodowej jest jednak gigantyczna. Podolają?

– Nie wiem. Sądzę, że im dłużej będzie trwał turniej, tym mniej będą myśleli o oczekiwaniach, a więcej o siatkówce. Widziałem w ostatnich meczach, że są stremowani, zaczynali je średnio. Ale z upływem czasu zapominali o nerwach, odzyskiwali luz, skupiali się na grze. Powtarzam: to jest proces. Może przebiegać wolniej, może przebiegać szybciej. Musimy to zaakceptować, niczego nie wymusimy. Ja tylko pomagam, instruuje, że najlepiej działa zaangażowanie głowy w czystą siatkówkę. Wyrzucić z głowy rangę meczu, opinie dziennikarzy, oczekiwania kibiców i rodziny, nawet własne oczekiwania. Skup się na boisku, a będziesz wydajniejszy.

Dzisiaj to trudniejsze niż kiedykolwiek, bo siatkarze trzymają głowy w internecie. Zanurzają się w niekontrolowanym strumieniu zbiorowej świadomości i np. podczas mundialu naczytają się zapewne o kłątwie ćwierćfinałów.

Słyszał pan?

– Tak. Regularnie odpadacie z igrzysk czy Euro w ćwierćfinale.

A po zmianie formuły na mundialu też będą ćwierćfinały.

– Znów zaglądamy do tej samej szuflady: stanu umysłu. Nie można dopuścić do tego, że w głowie zawodnika będą krążyły te same myśli co w głowach innych ludzi. Jakie znaczenie dzisiaj ma to, co było? W czym nam pomoże zastanawianie się nad tym? Jeśli idziesz na zagrywkę, pamiętając, że popsuleś ją na poprzednim turnieju albo w poprzednim secie, to tym razem na 100 procent również ją popsujesz.

Moja odpowiedź jest niezmienna: przekierowywać ich uwagę na konkretne zadania do wykonania. Przeszłością się w ogóle nie zajmuję. Jeśli powiesz komuś: „Nie myśl o różowym słoniu”, to pierwszą rzeczą, o jakiej pomyśli, będzie różowy słon. Więc ani słowa o tym, czym zajmują się media i kibice. Ani eksperci od siatkówki, którymi czasami kierują złe emocje, lubią się znęcać nad przegranymi, dają sobie prawo do oceniania wszystkich. Tacy są wszędzie, w każdym kraju. I zawodnicy słyszą od bliskich: „A wiesz, co on o tobie mówił?!”. Temu wszystkiemu nie zaradzisz, ja trzymam się prostej zasady: merytorycznie i ciężko pracujemy.

Jest pan zadowolony z przygotowań? Wszystko się udało?



Zaczęliśmy fascynującą przygodę.

A ja zacząłem od sprawy dla mnie fundamentalnej, czyli atmosfery w grupie

– Tak. Zaczęliśmy fascynującą przygodę. A ja zacząłem od sprawy dla mnie fundamentalnej, czyli atmosfery w grupie. Gdy zebrałem pierwszy raz szeroką, 25-osobową kadrę, powiedziałem, że każdy ma obowiązek o nią dbać. Rozkazałem, by okazywali sobie szacunek w każdej chwili. Podkreśliłem wyraźnie: to nie prośba, tylko rozkaz. Każdy ma pracować na pozytywną energię. Sam wielokrotnie tworzyłem drużynę z ludźmi, z którymi nie łączyło mnie nic poza wspólnym celem sportowym, i wiem, co jest podstawą sukcesu. Przeciwnicy stoją po drugiej stronie siatki, po naszej ich nie ma. Twój kolega z zespołu nie musi być twoim przyjacielem, ale zależycie od siebie, bez niego nie osiągniesz tego, na co harujesz na treningach.

I akurat o te sprawy jestem spokojny. Uważnie obserwuję i widzę, co mówią, jak żartują, że nie potworzyły się podgrupy.

Wcześniej pracował pan w Kędzierzynie, od kilku lat poznaje polskich siatkarzy. Mają jakąś cechę różniącą ich od zawodników innych nacji?

– *(najdłuższy namysł podczas tej rozmowy)* Najbardziej pomaga mi chyba ich reakcja na wszystko, co proponuję. Np. gdy mamy analizę taktyczną i mówię, jak rozegrać jakąś sytuację. Nie kwestionują niczego, nie zaczynają zbędnej dyskusji tylko po to, by dyskutować. Ale nie chcę generalizować, być może to dotyczy tylko zawodników, których poznałem.

Chyba nie tylko. Osiem lat temu zadałem to samo pytanie Stéphane’owi Antidze, byłemu selekcjonerowi naszej reprezentacji z Francji. Odparł, że Polacy szanują hierarchię, słuchają poleceń. Że jego rodacy czy Włosi zawsze chcą wiedzieć, po co mają coś robić i czy nie mogliby inaczej. Marudzą. A u nas siatkarz robi, co mu się każe.
– Powiedziałbym łagodniej, że podąża za instrukcjami. Zachowuje się racjonalnie. To jedna z najmilszych rzeczy, jaka mnie w Polsce spotkała: w ten sposób zawodnicy szanują moją wiedzę, a przede wszystkim oszczędzamy czas. Ufają mi, podążają za liderem. Ciekawe, że Antiga też to zaobserwował.

A lider na boisku też jest niezbędny? Czy wystarczy trener kontrolujący wszystko, co da się kontrolować? Pytam oczywiście z powodu Michała Kułbiaka, który przez lata był niepodważalnym mentalnym przywódcą drużyny, a w tym sezonie zakończył reprezentacyjną karierę.

– Na siłę nikogo na lidera nie wylansujesz, to pewne. Widywałem nawet w życiu sytuację, w których promowanego grupa zwyczajnie znienawidziła. Zresztą nie ma sensu szukać nowego Kułbiaka czy nowego Leóna, nie tak działa sport.

Odpowiem na to pytanie na swoim przykładzie. Liderem swojej reprezentacji byłem przez wiele lat, całą wieczność. Robiłem za kapitana, rozgrywającego, zaganiającego do pracy, organizującego różne sprawy, za tatusia. Zwłaszcza w ostatnich sezonach, kiedyostałem się jako ostatni starszy zawodnik w serbskiej kadrze. I gdy po mundialu w 2010 roku zakończyłem karierę, miał nastąpić koniec. Na konferencję prasową przed mistrzostwami Europy przyszło ze trzech dziennikarzy, bo wszyscy uważali, że bez Grbicia nie ma sensu tracić czasu na reprezentację siatkarzy.

Pamięta pan, co było potem? Serbia na Euro 2011 zdobyła złoto. ●
Rozmawiał Rafał Stec

Emocje po walce

Ukrainiec Oleksandr Usyk znów to zrobił – w rewanżu ponownie pobił Anthony’ego Joshuę. A potem stała się rzecz niesamowita, nawet jak na boks, najdziwniejszy ze sportów.

Radosław Leniarski

W Dżuddzie, czteromilionowym mieście Arabii Saudyjskiej, Usyk pokonał Joshuę na punkty niemal dokładnie tak, jak zrobił to 11 miesięcy temu na stadionie Tottenhamu w Londynie. Ale decyzja sędziów tym razem nie była jednomyślna: ukraiński mistrz obronił tytuł federacji WBA, IBF i WBO dzięki punktacji 113:115, 115:113 i 116:112.

Dziwaczne przedstawienie Anthony’ego Joshuę

Dotąd wydawało się, że pojedynek jest czymś więcej niż walką ze względu na Usyk. Ukrainiec reprezentuje kraj broniący się przed najeźdźcą Rosji. Joshua miał być w tej konfrontacji zwykłym pięściarzem walczącym o swoje zwycięstwo, o pieniądze dla siebie i dla sportowej satysfakcji. Ale tak nie było, co okazało się po ostatnim gongu. Sceny na ringu wyprzedziły sławę boksu jako sportu ekstremalnego, w którym pięściarzami targają emocje o skali zupełnie niezrozumiałej dla osób, które nigdy nie weszły do ringu i nie zostały w nim sam na sam z przeciwnikiem.

Najpierw Joshua ukląkł przed rywalem, również klęczącym i dziękującym Bogu za zwycięstwo, zawinął się we flagę ukraińską, a potem zabrał dwa z trzech pasów mistrzowskich należących do Ukrainca, wyrzucił je poza ring, następnie zawrócił z drogi do szatni, ponownie wszedł do ringu, przejął mikrofon i przez długie minuty przemawiał, próbując ni to oddać hold Usykowi, ni to wyjaśnić swoją drogę życia prowadzącą do porażki w Dżuddzie. – Jeśli znacie moją historię, wiecie, że zawsze kierowała mną pasja. Nigdy nie byłem szermierzem na pięści [tu Joshua użył słów „pięściarzem amatorem”], od kiedy miałem pięć lat. Byłem w więzieniu, wyszedłem za kaucją. Zaczęłem ćwiczyć, żeby umieć walczyć. Nie jestem bokserem na 12 rund, popatrzcie na mnie. Jestem nowym gatunkiem w wadze ciężkiej. Spójrzcie na Mike’a Tysona, Sonny’ego Listona, Jacka Demseya. Ja ważę 110 kilogramów! – mówił Joshua, ku zdumieniu osób na ringu i tych na trybunach, którzy rozumieli, co mówi w swoim podlondyńskim slangu.

I wreszcie, gdy już niemal w szmach wyjaśnił swoją porażkę, uznał klasę rywala. Dał znać, że rozumie, co Ukrainiec musiał przeżywać, przygotowując się do rewanżu z daleka od kraju toczącego walkę na śmierć i życie o przetrwanie z najeźdźcą: – Teraz na jego cześć trzykrotnie hip, hip, hurra! [i rzeczywiście w hali w Dżuddzie słychać było skandowanie]. Ogłądałem to, co dzieje się w Ukrainie. Nie jest to nic milego. Jacy mistrzo-



• **Triumfujący Oleksandr Usyk** FOT. HASSAN AMMAR / AP

wie stamtąd przyjechali! Jak w tych okolicznościach się mu udało. Jest mistrzem. Ile pasów masz, bracie?

Czegoś takiego świat bokserki nie widział, a naoglądał się dziwactw. Czy Joshua wiedział, co wyprawia? Prawdopodobnie nie, prawdopodobnie po prostu dał się ponieść emocjom, uderzyły go nagle rozczarowanie porażką, poczucie bezradności w starciu ze znacznie lepszym technicznie pięściarzem oraz świadomość, że przegrywając walkę z Usykiem po raz drugi, przegrał również swoją przyszłość w boksie.

Bajeczna technika

Jednak początkowo wydawało się, że wielki Brytyjczyk (32 l, 24-3-0, 22 KO) odbije tytuły mistrza świata wagi ciężkiej, jakie mu odebrał Ukrainiec po zwycięstwie we wrześniu 2020 r. Że nauczył się, jak walczyć z Usykiem (35 l, 20-0-0, 13 KO), tak jak nauczył się walczyć z Andym Ruizem Jr., kiedy po porażce przez nokaut pokonał go z łatwością w ich rewanżowym pojedynku. Że jego nowy trener Robert Garcia wyciągnął z niego pokłady agresji bokserkiej i umiejętności, wcześniej nieobserwowanych u pięściarza, który wchodził na ring z jedną myślą: zmieść przeciwnika z ringu.

W początkowych rundach rzeczywiście Brytyjczyk był trudny do trafienia przez Ukrainca. Jak na dużego pięściarza – oprócz 110 kg wagi ma prawie dwa metry wzrostu – znakomicie się ruszał, balansował ciałem, ugiął nogi, obniżając tułów, znacznie lepiej niż w pierwszej walce pracowały jego nogi. Był dla Ukrainca o wiele trudniejszym przeciwnikiem niż w ich pierwszej

walce. Używał podwójnego prostego, omijał lewą rękę Usyka, najgroźniejszą broń mańkuta. I faktycznie, w pierwszych rundach Ukrainiec miał gorszą od rywala skuteczność. Zadawał więcej ciosów, które jednak nie dotatywały do celu, a te trafione były nieprzekonujące. Z biegiem rund jego bajeczna technika i szybkość byłego króla kategorii juniorciężkiej zaczęły przeważać, a Joshua przeistaczał się w tego pięściarza, jakim był w ich pierwszej walce: nieodpornym na kombinacje zadawane przez Usyka w piekielnym tempie.

Wydawało się, że 9. runda będzie przełomowa. Joshua kilkakrotnie dopadał rywala, nawałnica ciosów spychała Usyk na liny, w tym starciu był najbliższy porażki. Statystycy z firmy Compubox wyliczyli, że Joshua trafił z ponad 40-procentową skutecznością, że aż 28 uderzeń dotarło do celu, niemal trzykrotnie więcej niż w jego najlepszej poprzedniej rundzie. Ale w następnym starciu Usyk odpowiedział w mistrzowski sposób. Wtedy on miał najwyższą skuteczność, a Brytyjczyk ostatecznie się przekonał, że jeśli nie znokautuje Ukrainca, przegra raz jeszcze. Tylko jak go trafić, kiedy skacze jak królik po całym ringu, nie zadaje dwóch ciosów w tej samej pozycji, przez sekundę nie jest w tym samym miejscu i jeszcze zwiększa tempo walki, jakby nie było szaleńcze od początku.

Jaka przyszłość przed mistrzem

Obaj pięściarze zarobili po co najmniej 75 mln dol. Usyk – na każdym kroku podkreślał, że walczy dla rodaków broniących kraj przed inwazją Rosji – zapewnił bezpłatną transmisję walki w ojczyźnie. Jego ekipa występowała w niebiesko-żółtych dresach, on sam ostrzygł głowę na kozacką modłę, z ośledcem na czubku. Nie ukrywał lez, wielokrotnie modlił się, żegnał, dziękował Bogu za zwycięstwo.

Teraz jego następnym celem będzie zjednoczenie tytułów wszystkich federacji. Mistrzem wersji WBC jest Tyson Fury zapowiadający zakończenie kariery. Czy zmieni zdanie, gdy przeciwnikiem będzie Usyk? – Jeśli nie będę walczyć z Tysonem Furym, nie będę walczyć wcale – powiedział Ukrainiec. ●

Wojciech Kuczek

Metafizyka porażki

Panele dyskusyjne poświęcone piłce nożnej nie są częstym zjawiskiem na festiwalach literackich, rzekłbym nawet, że to incydenty prowokacyjne, tym bardziej więc z radością 3 września wezmę udział w najbliższym z nich.

„Pociąg do Literatury” odjeżdża w tym roku z Kiel do piero po raz drugi, a już się obok Herlinga-Grudzińskiego, urodzonego kielczanina, daje odczuć ducha innego patrona, który w tym mieście zmarł, czyli Jerzego Pilcha. Jeśli bowiem rozmowa o sprawie ważniejszej niż życie i śmierć odbędzie się pod hasłem „Metafizyka futbolu, czyli jak dochować wierności drużynom, które przegrywają”, możemy mieć pewność, że chodzi o mityczną Cracovię.

Pilch, nie mogąc znieść tego, że „Pasy” nawet w dziedzinie partactwa są niedoskonałe, stworzył mit drużyny, która przegrywa zawsze. Nie wzięło się to znikąd, nasz wybitny prozaik przyszedł na świat tuż po tym, jak jego ukochany klub po raz ostatni zameldował się na podium ekstraklasy i umarł miesiąc przed historycznym zdobyciem przez krakowian Pucharu Polski. Jest w tym jakaś przeklęta reguła, że Cracovia nawet jak zachwyca, to tylko po to, żeby tym bardziej rozczarować.

Tyle, co się rzekło po trzech wygranych na starcie sezonu, że Pasy nigdy tak dobrze nie zaczęły ligi, a natychmiast przyszła klapa. Znacznie łatwiej kibicować ekipom konsekwentnym. Bycie doskonale nieudolnym jest wszak rodzajem perfekcji – gorzej, kiedy się nawet partaczy w kratkę, jest się miernym nieudacznikiem, zamiast być monumentalnym przegrywem. Najgorsi imponują, a nawet potrafią wzruszać, przytrafia się im sława, powstają o nich filmy, jak „Biało-Czerwoni z Chrząstawy” o tamtejszym LZS-ie. O parku Starzenice też nigdy bym nie usłyszał, gdyby nie ich rekordowe sześćdziesiąt porażek z rzędu w B-klasie i pucharze, czyli prawie trzy i pół roku nieprzerwanych klęsk.

Każdy woli przyjemne zaskoczenie od rozczarowania: najgorsi są niezawodni, można na nich liczyć, nigdy nie rozczarowują, w najgorszym razie przyjemnie zaskoczą. Sądzę zatem, że obywatele San Marino są szczęśliwsi kibicami od fanów reprezentacji Polski, choć ich kadra narodowa tylko raz wygrała oficjalny mecz, i to wyłącznie w starciu towarzyskim, przed osiemnastu laty z Liechtensteinem.

Ale najtrudniej kibicować drużynie, która wygrywa tak szpetnie, że jej zwycięstwa smakują gorzej od klęsk. Zdawałoby się, że „wymęczenie wysokiej wygranej” jest oksymoronem, jednak przy Bułgarskiej okazało się to możliwe. Lech tego lata gra tak źle, że nawet wygrywając kilkoma bramkami, jest niemilościwie wygwizdywany. Właściwie powinniśmy się chyba cieszyć, bo to wciąż oznacza, że mamy niejaki podstawy mieć o swoich klubach lepsze mniemanie, niż na to zasługują. Przedziwny i smutny był rewanż z Vikingurem, niewiele weselszy mecz z Du-delange – lechici wciąż grają kac-futbol pełny niewiarygodnej nieporadności w ofensywie i niepewności w obronie, zwińczoony paraliżem portugalskich gwiazd (nad losem Afonso Sousy, który był łżony przez trybuny nawet wtedy, kiedy wreszcie trafił do bramki, chciało się wręcz zapłakać). Holenderski trener ma CV nie w kij dmuchał, ale powiedzieć, że drużyna przy nim wiednie, to za mało – ile można czekać na poprawę?

A może będzie tak jak z Legią, którą do Ligi Mistrzów wprowadził Besnik Hasi (dzięki równie fuksiarskiej drabince w eliminacjach, jaką ma Lech van den Broma), lecz niemal natychmiast po tym go wyrzucono. Hasi Legię zatrzał tak bardzo, że pierwszy po z górą dwudziestu latach mecz w Champions League był bodaj najsmutniejszym w historii obiektu przy Łazienkowskiej – 0:6 u siebie i awantura na stadionie. A przecież Albańczyk też miał papiery, podobnie jak obecny trener lechitów prowadził wcześniej Anderlecht. Może po prostu do polskiej piłki nie wolno trafiać przez Brukselę, bo zwiastuje to niechybna klęskę? W przeciwnieństwie, miejmy nadzieję, do polityki... ●

wyborcza

REDAKCJA ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00; **E-mail:** redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania.
Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@agora.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik
PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Jarosław Kurski
ZASTĘPCY: Piotr Stasiński, Mikołaj Chrzan, Roman Imielski, Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wieliński
SEKRETARZ REDAKCJI: Anna Kwiatkowska
PROJEKT GRAFICZNY: Jacek Utko
PORTRETY AUTORÓW: Agata Marszałek
Prenumerata cyfrowa: prenumerata.wyborcza.pl; pomoc@wyborcza.pl, 22 555 54 55, 519 255 455
Inne formy prenumeraty: wyborcza.pl/prenumerataGW
Kolportaż: Problemy z dostępnością „Wyborczej” lub z właściwą mutacją lokalną, informacje o możliwości

kupienia dodatków: (12) 629 53 11, kolportaz@wyborcza.pl
Gazeta Wyborcza w serwisach społecznościowych: facebook.com/wyborcza, twitter.com/gazeta_wyborcza, instagram.com/gazeta_wyborcza

WYDAWCA
Agora SA, ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 526-030-56-44
DYREKTOR WYDAWNICZY: Wojciech Bartkowiak
Zastępczyni dyrektora wydawniczego: Joanna Mosiej-Sitek
Dyrektor marketingu: Michał Bauer

REKLAMA
Dyrektor sprzedaży: Joanna Kwas
Biurow reklam i ogłoszeń: ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
reklama@agora.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44
DRUK: Agora SA
ISSN 0860-908X
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.

